



Esz. archiwalny IBL

PIEŚŃ NIEPODLEGŁA

PIEŚŃ NIEPODLEGŁA

POEZJA POLSKA
CZASU WOJNY

INSTYTUT
BADAN LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-240 Warszawa
Tel. 26-58-53, 26-52-31 w. 42

OFICYNA POLSKA W WARSZAWIE



Odbito 1600 egz. oraz 10 egz. na papierze kredowym,
poza sprzedaż.

S

<http://fcin.org.pl>

OD WYDAWCY

Książka niniejsza ma być w założeniu antologią poezji polskiej, powstałej w czasie wojny. Właściwiej byłoby ją określić jako próbę antologii: próbę, gdyż teraz, gdy nie istnieje normalny ruch wydawniczy, nie może być mowy o dotarciu do wszystkich utworów pisanych w tym okresie i o dokonaniu wszechstronnego wyboru.

Mieliśmy do rozporządzenia to tylko, co doszło nas dzięki pracy bezimiennych kronikarzy i kopistów. Nie znając nazwisk autorów poszczególnych wierszy (mamy tu, jak się zdaje, do czynienia przeważnie z nowymi talentami), nie mogliśmy zwrócić się do nich z prośbą o pozwolenie na przedruk. Czujemy się w obowiązku przeprosić ich na tym miejscu za podobne naruszanie praw autorskich. Mamy jednak nadzieję, że jeżeli książka ta wpadnie w ich ręce, wybaczą nam oni korzystanie z wytworów ich pióra i zechcą laskawie nas wytłumaczyć.

Całość została podzielona na rozdziały, obejmujące wiersze zbliżone tonem zasadniczym i tematyką. Podział ten, jak wszystkie podziały tego rodzaju, posiada słabe stro-

ny, pozwala jednak ukazać pewne ciekawe zbieżności w ideach artystycznych — co jest nie do pogardzenia, zwłaszcza w chwili obecnej, gdy milczy krytyka i literatura.

Tym samym względem kierowaliśmy się, umieszczając na początku każdego rozdziału kilka słów o poruszanych przez poezję zagadnieniach. Mogą oświecenia nasze wydać się komuś sporne — jeżeli jednak zdołają wywołać dyskusję, już zadanie ich będzie spełnione. Książkę rozpoczęliśmy od kilku wierszy z przed wybuchu wojny, gdyż zło, które niszczy naszą ziemię i Europę, jest nieco starsze niż 1 wrzesień 1939 roku...

Wreszcie tytuł. Oznacza on, że gdy padają państwa i wali się w gruz niejedna miljonowa potęga, waronnią prawdziwej wolności pozostaje niepodległe serce i pieśń niepodległa.

Kwiecień 1942 roku.

W S T Ę P

Scharakteryzowanie w paru słowach wierszy zebranych w tej książce, wierszy, które mają dać czytelnikowi pojęcie o współczesnej polskiej twórczości — byłoby rzeczą trudną. Na każdym kroku bowiem natykamy się na niebezpieczeństwo zbyt pośpiesznych uogólnień i nazbyt skłonni jesteśmy traktować przypadkowe nieraz wypowiedzi jako „głos ludu”. Niemniej, opierając się zarówno na utworach, które weszły w skład antologii, jak i na dość obfitym materiale, z którego dokonaliśmy wyboru, można spróbować określić, na czym polega odrębność poezji wojennej.

Jesteśmy włączeni w wielką dziejową przemianę i wiemy, że gra idzie o największą stawkę, jaką zdolne są postawić narody. Już to jedno wpływa w decydujący sposób na wszystko, co wychodzi z pod polskiego pióra. Przeżycia osobiste poszczególnych ludzi schodzą na plan dalszy, a raczej niema już przeżyć wyłącznie osobistych: każda ra-

dość, każde cierpienie jednostki jest odbłaskiem wspólnej i szerszej sprawy; „być czy nie być” dotyczy w pierwszym rzędzie narodowego, nie jednostkowego istnienia. Tak to wojna, jako zjawisko, które tem samem nieszczęściem godzi w miliony ludzi, uczy myśleć kategorjami wspólnoty. I oto pierwsza cecha tej poezji: powiązanie osobistych doznań jej autorów z doznaniem zbiorowemi, powiązanie bynajmniej nie powierzchowne, nie ograniczające się do tego, że autor pisze i dla sprawy i gdzieś na boku spowiada się ze swoich najprywatniejszych smutków. Jest to powiązanie istotne i głębokie, tak głębokie, że nie da się oznaczyć, gdzie kończy się osobista troska i gdzie zaczyna się troska o cały naród, czy — użyjmy spotwarzonego słowa — o ludzkość.

Prawa walki nadają tej poezji specjalne piętno: rzadko pojawiają się w niej akcenty krytyczne w stosunku do najbliższej przeszłości, do tego dwudziestolecia, które, jak wiemy, dalekie było od spełnienia marzeń Żeromskiego o szklanych domach... Wiersze te żyją chwilą, są przygniecione, zafascynowane ogromem dziejących się zdarzeń. Zdają się mówić: nie teraz czas na wywlekanie

dawnych sporów. W ślad za tem idzie pewna idealizacja wszystkiego co polskie, popolitsza zresztą na emigracji, niż w kraju. Wizja przyszłości występuje w tych wierszach częściej, niż oglądanie się na przeszłość — i można wyczytać w niejednym miejscu kajanie się za winy i gorące pragnienie naprawy dawnych błędów.

Jeszcze jedna cecha jest wysoce charakterystyczna: jest to tęsknota do czystości etycznej, rozumianej w sensie tradycyjnym, chrześcijańskim. Rozpętanie złych potęg, zrodzonych z zaprzeczenia niezmiennemu prawu moralnemu i z usprawiedliwienia przemocy człowieka nad człowiekiem — wywołuje tę zrozumiałą reakcję. Pojawia się jakby zwątpienie w skuteczność najrozmaitszych recept na przebudowę świata, jeżeli recepty te, jawnie głosząc pogardę dla uczuć litości i braterstwa, doprowadzają do takich punktów zwrotnych, jak obecna wojna.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ZWIASTUNY BURZY

W te lata, gdy Europą przebiegało podziemne drżenie, a powietrze było ciężkie, rostrząsane błyskawicami zbliżającego się kataklizmu — poezja polska, ustami najlepszych swych przedstawicieli przepowiadała przyszłość pełną zmagani i cierpień. Ton tej poezji był smutny, niespokojny, pesymistyczny — wbrew pogodnym i krzepiącym zapewnieniom polityków, wbrew sztucznie wytwarzanym nastrojom radja i prasy. Nikt nie chciał wierzyć, by mogło się zdarzyć to, co się zdarzyło — poeci, gdy dzisiaj patrzymy z pewnej już perspektywy na ich utwory, wierzyli. Może nie zawsze świadomie. Istnieje bowiem nieświadomość poetów mądrzejsza niż logika mężów stanu. Poezja wyrasta z atmosfery zbiorowego życia, notuje nieujawnione jeszcze stany zbiorowych wzruszeń. Siła jej i znaczenie polega być może właśnie na tem, że wypowiada uczucia dotychczas nienazwane, że pierwsza przenika w splątany gąszcz rzeczywistości i sprawom bez imienia nadaje imię. Gdy światem biegły morwy dyplomatów, gdy usiłowano zażegnać niebezpieczeństwo przy pomocy frazesów i chelpliwiej gotowości — niepokój, jaki odczuwało każde ludzkie serce, to wewnętrzne rozdygotanie

w obliczu nieuniknionej próby — nie miał innego narzędzia wypowiedzi, niż usta poetów. Jak w każdym okresie, w którym tęsknoty i obawy narodów nie znajdują ujścia w twórczym działaniu i skazane są na milczenie, poezja w tych ciężkich latach dojrzewania straszliwego konfliktu niosła na sobie brzemie proroctwa.

Była to poezja zwiastunów burzy. Przyjdą ludzie, którzy napiszą o tej epoce w historii polskiej literatury całe książki, którzy dokonają zestawienia dat, nazwisk i tytułów. My, zmuszeni przez trudne warunki do zwięzłości, ograniczamy się do odnotowania zjawiska t. zw. katastrofizmu, jako jednego z najważniejszych zjawisk dwudziestolecia. W chaosie ścierających się prądów, dziennikarskich polemik, sporów o taką czy inną awangardę, czytelnik nie był w stanie uchwycić zasadniczego tonu ówczesnej poezji, przesyłaniały mu pole widzenia sprawy i utwory doraźne, zaprzatające umysł w stopniu nierównomiernym do ich wagi. Dzisiaj, gdy surowa miara rzeczywistości usunęła w cień wszystko, co było chwilowym triumfem autorów, a wydobyci na jaw rzeczy zdolne trwać i przetrwać, zaczynają się rysować jakieś ogólne kontury, wśród splecionych nici ukazują się wyraźne ściegi.

Jeden okres w dziejach polskiej kultury jest już skończony — okres dwudziestolecia 1918 — 1939. Stoimy po drugiej stronie wiel-

kiego progu, nieświadomi, czem jest i będzie okres następny, ale peroni, że tamto przeszło bezpowrotnie i zastygło w kształt nieodwołalny, już na zawsze. A jednak nie wszystko stało się przeszłością. Są słowa i czyny, które były zaledwie zapoczątkowane, które przedłużają się poza granicę tamtego czasu. Podobni do ludzi, którzy szukają klejnotów w ruinach, rozgrzebujemy popiół, aby odnaleźć myśl, której nie zdołał strawić niszczący i oczyszczający ogień. Wśród tych słów i czynów wciąż jeszcze żywych cenny jest dzisiaj każdy objaw, który przyświadcza, że naród polski nie został zaskoczony we śnie, że instynktem wyczuwał grozę nadchodzących wydarzeń, a do walki wystąpił, nie ludząc się co do rozmiaru ofiar, jakich wymagać będzie od niego decyzja obrony niepodległego bytu. O niektórych momentach historii wierszejsze świadectwo składa aktualny wiersz czy piosenka, niż tomy napisanych później rozpraw i wspomnień. Dlatego nasz pamiętnik poetycki czasu wojny rozpoczyna się od kilku wierszy, pochodzących z przed września 1939, z ostatnich przedwojennych lat. Pośród licznych utworów tego rodzaju, są one może najlepszym przykładem tragicznej gotowości.

KRZYK OSTATECZNY

Dzień głodu, ognia, powietrza i wojny
Z dziejowej rodzi się nocy.
Oto wołam, jak dawni prorocy,
Poeta w sercu swem wolny.

Głos mój — głos wiela wód,
Kiedy nadciąga zagłada.
Pędzą Czterej na zachód i wschód.
Biada! Biada! Biada!

Biada wam, ufne swej mocy
Babilony drapaczy chmur.
Dzień straszny rodzi się z nocy.
Będzie głód, pożoga i mór.

Żyjąca a już umarła,
Nowe ukaże piekła
Cywilizacja oślepla:
Niewiasta przybrana w szkarłat.

Groza narasta.
Gniewnie kroczy historia.
Spłoną miasta.
Runą laboratorja.

Słyszę nowych potopów przybór,
Słyszę tupot milionów nóg.
Do mnie należy wybór
I słów, i czynów, i dróg.

A ja stoję w sobie nachylony,
Krzyczę, w mękę wplątany jak Ixion,
Nad rzekami przyszłych Babilonów
Spełniająca się Apokalipsę.

Lecz gdy dojmie mnie pościg odmętu
Głodem, ogniem, powietrzem i wojną,
Jak butelkę z tonącego okrętu
Rzucę krzyk mój ostateczny: wolność!

1958 r.

*
* *
*

I znowu tupot nóg sołdeckich,
i grzmiących sotni gwizd kozackich,
gwiaździsty nad Europą but,
i mrowi się ludami wschód.

A na zachodzie werbli trzask,
rozwgar motorów z nieboskłonu,
i krok miarowy wzywa łask
boga mocniejszych batalionów.

Ojczyzno moja, a ty trwasz
w żelaznym pograżona gwarze,
światowidową mroczną twarz
zwracając w cztery strony wraże.

I marzy ci się chleb i miód,
i szklane domy w rodnych sadach,
i szczęśliwości pełen trud,
pod gałęziami lip biesiada.

A niebo wokół się czerwieni,
ocknął się kontuszowy trup,
przystają mędrcy przerażeni,
opustoszały widząc grób.

I znów? Czy znów? Kołowrót dziejów
w płonący krąg porywa nas,
skończyły się sny kołodziejów,
stalowy szumi, groźny las.

Żelazne dęby dudnią głucho,
toczy się mur, żelazny bór.
Nad konarami, zawieruchą
znów szumi wiatr, znów śpiewa chór:
O, mój rozmarynie....

1938 r.

BAGNET NA BROŃ!

Kiedy przyjdą podpalić dom,
ten, w którym mieszkasz — Polskę,
kiedy rzucą przed siebie grom,
kiedy ruszą żelaznem wojskiem
i pod drzwiami staną i nocą
kolbami w drzwi załomocą —
ty, ze snu podnosząc skroń,
stań u drzwi:
Bagnet na broń!
Trzeba krwi.

Są w ojczyźnie rachunki krzywd,
obca dłoń ich też nie przekreśli,
ale krwi nie odmówi nikt:
wysączymy ją z piersi i pieśni.
Cóż, że nieraz smakował gorzko
na tej ziemi więzienny chleb?
Za tę dłoń wyciągniętą nad Polską —
kula w łeb!

Ogniomistrzu i serc i słów,
poeto — nie w pieśni troska...
Dzisiaj wiersz — to strzelecki rów,

okrzyk i rozkaz:
Bagnet na broń!
Bagnet na broń!
A gdyby umierać przyszło,
przypomnimy co rzekł Cambronne
i powiemy to samo — nad Wisłą.

1939 r.

CZEŚĆ DRUGA

LUDZKA SKARGA

I stało się. Pierwsza faza wojny przyniosła nam klęskę. Wraz z rozdarciem kraju przez wrogie okupacje zniknęło z powierzchni życia wszystko, co mogłoby dawać wyraz świadomości kulturalnej Polaków. Słowo pisane przeniosło się w podziemia konspiracji, wychodzić zaczęło z pod pióra bezimiennych ludzi. Podejmował je również bezimienny chór. Wróciła znana nam z dziejów pora krążących odpisów, przekazywanych z rąk do rąk wierszy i artykułów, których autorzy może na zawsze pozostaną nieznanymi.

Wrzesień 1939 roku nie znalazł w tej anonimowej literaturze godnego siebie ujęcia. Morza ludzka jest za słaba, by stawić czoło wypadkom w całej ich jaskrawości i nagości, by chwytać i utrzymywać rzeczywistość, gdy ta rzeczywistość jest niepojęta, gdy jawi się oszłomionym oczom ludzkim jako koszmara, niemożliwy do rozplątania. Wiele zapewne wody w Wiśle upłynie, zanim ukażą się utwory, które utrafią w ton ówczesnych strasznych doświadczeń, które opiszą marsze i wędrówki, płonąca Warszawę i ruderę od pożarów wioski nocą na mazowieckich równinach. Rozpacz i złudne nadzieje, lęk i bohaterstwo, samotność tych, co potracili ro-



dziny i mienie — za wszystko to lepiej „zmówić pacierz ogromnem milczeniem”, jak powiada Norwid, niż silić się na wynajdywanie pięknych, a niecelnych wyrazów. Może już teraz istnieją wiersze czy opowieści przybliżające się do prawdy tamtych dni — ale nie znamy ich, i tak być powinno: niech oddalenie przyniesie nam większy ład wewnętrzny, a będziemy bardziej przygotowani do ich przyjęcia i osądu.

Pierwszym odruchem ludzkim w obliczu klęski jest skarga ślepa, bezkierunkowa, rzucona w przestrzeń pod naciskiem doznawanego bólu. Wielkie katastrofy ukazują jednostce ludzkiej jej słabość i bezsilność, czuje ona wtedy, że niesie ją jakaś potężna fala, że na nic nie zda się wołanie o litość i na nic nie zda się wewnętrzny sprzeciw.

Żdźbło ludzkie, rzucone w wodospad historii, odczuwa jednak i cierpi. Głos jego, zagłuszany rykiem toczących się wód brzmi wątko i niemal śmiesznie, a przecie w nim to zamyka się cała wielkość ziemskiego przeznaczenia: tylko cierpienie człowieka jest miarą świata.

Pierwsze utwory poetyckie, jakie w odpisach zaczęły krążyć po wrześniu były częściej skargą, niż podrywem nadziei. Czytelnik, któremu zdawało się, że na zawsze już literatura polska zerwała z romantycznym cierpiętnictwem, przyjmował je ze zdumie-

niem i z pernym rodzajem buntu. Jako — pytał — więc teraz, gdy trwa bój, gdy trzeba zdobyć się na najwyższy heroizm — poeci potrafią tylko kwilić i zalamywać ręce? Gdzież pieśń bohatera, która porwie i poprowadzi tłumy? Gdzież słowo, które mogłoby się stać nie słowem bólu, ale — pokrzepienia?

Czytelnik taki nie miał słuszności. W momencie, gdy spada na naród gwałtowny cios, gdy w ciągu kilku dni ulega zniszczeniu dorobek dziesiątków lat — niewiele zaiste znajdzie się takich, którzyby zdolni byli oderwać się od obrazu zniszczenia i więcej mieć nadziei, niż goryczy. Niema powodu wstydzic się odczuć i odruchów głęboko ludzkich, w których wyraża się ułomność ludzkiej natury. Można w artykule propagandowym udać entuzjazm i optymizm. Ale tam, gdzie występuje jednostka sam na sam ze sobą i spowiada się szczerze ze swoich pierwszych doznań w obliczu nieszczęścia — smutek jest objawem zupełnie normalnym. Człowiek, któremu krew spływająca z czoła przestania oczy, działa i mówi odruchowo i nie od niego to należy oczekiwać pieśni zwycięstwa. Dopiero gdy po pierwszym ciosie otrząśnie się i zbierze siły — zdolny będzie dostrzec poprzez dymy i kurzawę bitwy — światło przyszłości. Ale droga ku temu wiedzie przez wiele wronętrząnych zmagani i obrachunków.

ŻOŁNIERZ POLSKI

Ze spuszczoną głową, powoli,
Wraca żołnierz z niemieckiej niewoli.
Dudnią szosy, ciągną obce wojska,
A nad nimi złota jesień polska.
Usiadł żołnierz pod brzozą u drogi,
Opatruje zbolące nogi.
Jego pułk rozbili pod Rawą,
A on bił się, a on bił się krwawo.
Szedł z bagnetem na czołgi żelazne,
Ale przeszły, zdeptały na miazgę.
Pod Warszawą dał ostatni wystrzał,
Potem szedł przez ruiny, przez zgliszcza.
Jego dom podpalili Niemcy,
A on nie ma broni, on się nie mści.
Hej, ty brzozo, hej ty brzozo płaczko,
Smutno szumisz nad jego tułaczką,
Opłakujesz i armję rozbitą
I złe losy i Rzeczpospolitą.
Siedzi żołnierz ze spuszczoną głową,
Zasłuchany w tę skargę brzozową,
Bez broni, bez orła na czapce,
Bezdomny, na ziemi — matce.

WARSZAWA

Trupie ulice, domów bohaterskich zwłoki
Dymią krwią jeszcze ciepłą, która nie za-
[stygnie.
Nad Warszawą gęstnieją strasznej zemsty
[mroki
W głodu, ognia i wojny obłędnej malignie.

Spalony zamek—wieże zburzonych kościołów,
Trąd pocisków na murach, wygryzione wrzody,
Stolica gruzów—cmentarz śmiertelnych anio-
[łów,
Parki nie dają cienia, ni Wisła ochłody.

Lecz nad gruzami, zbrojno, nieodmienną
[drogą,
Co nową hekatombą zrobiła się żyzna,
Księżę jedzie na koniu z przestrzeloną nogą
I ponad trupy mówi: Honor i Ojczyzna!

W ODŁOCIE

Kiedy wróćcie rodzinne bociany
O wiosny zielonym błękanie,
Własnej zagrody, strzechy słomianej
Już nie ujrzycie.

Będziecie jeno kołować wkoło
Klekocąc o nieba poszycie,
Że przecież tutaj tańczyło sioło
I żyto było i życie.

Napróżno znaki pisać po niebie —
Niema już tego, przepadło.
Zieleń porośnie, ziemia pogrzebie
Czarne zgorzelisk zwierciadło.

Nagle zrozumcie, nagle odfruńcie
Z nad ruin w krainy inne,
Kędy równiny, kędy doliny
Wędrownym ptakom gościnne.

Że w dekoracjach obczystej sceny
Cięży z łąkami rozłąka,
Że były w stawach żabie migreny,
Że blask świętojański się błakał —

— Czekajcie wiosny. Przyjdzie skrzydlata,
Wepnie was wiatrom do lotu.
I oto sioło, i oto chata
I łązy rzęsiste — powrotu.

*

*

*

w Wilnie jest ulica Tatarska

Szedłem Tatarską z rozmachem,
Bezdomny i w zamyśleniu.
Aż między dachem a dachem
Księżyc wyłocił w kwitnieniu.

Widok był teatralny
I oklepany w piosenkach.
Aż myślę: ten księżyc banalny
Tak samo świeci w Łazienkach.

Tak samo śpiewa na Kruczej,
Ruinom myje podłogi,
Po Wspólnej płynie jak ruczaj,
Rozpruwa westchnienia i drogi.

I cóż. Tatarska ulica,
Zaułki, zamknięte jak wieko.
Ratujcie! Ja nie chcę księżyc
Gdy tak mi do wspomnień daleko!

GWIAZDY

Zapłakała noc majowa,
A na niebie okieść gwiazd.
A pod niebem jedna głowa,
Myśli w jednym z miast:

Moje złote, moje srebrne,
Ziemia cierpi i ja cierpię,
Bowiem jak te czasy przebrnę,
Jak ten ból wyczerpię?

Jeśli jest na gwiazdach życie,
Proste życie w zgrzebnej chacie,
A pod chatą chwast
I psy —

Czy do ziemi też tęsknicie,
Czy do ziemi też wzdychacie
Tak, jak my do gwiazd
Przez łąy?
Nie warto....

WIOSNA KŁĘSKI

Wiosna, w słodczy zmartwychwstała świeżej,
Promienna słońcem, powiewami wonna,
Oczarowana sobą we śnie leży,
Jak tajemnica święta — i bezbronna.

Bo chwila wbija miecz w serce zbołałe
I młode pola, wzgórz zielone kopce,
Dalekie lasy, świata piękno całe,
Zda mi się nagle beznadziejnie obce.

Głuche milczenie na ziemi obszarze.
Jedynie jastrząb wśród nieba głębiny,
Na niewidzialnym błękitu zegarze,
Kołując, smutne zakresła godziny.

SZEDŁEM DZISIAJ PRZEZ OGRÓD

Szedłem dzisiaj przez ogród, od wiosny zam-
[glony,

Alejami, skąd widać ulicy zwaliska.

Wiatr tu rozwiewa murów popalonych złomy
Skrzypi żwir. Kropla deszczu z drzew na czo-
[ło pryska.

Jakieś pary na szczątkach ławek. Niebo
[chmurne.

W taką wiosnę przystanąć, na ścieżce rysować
I z myśli wszystkich wrogich, walących się

[szturmem
Jedną wybrać, jak łódkę, wiozącą przez powódź.

Więc myślałem kim jestem. Jestem człowiek
[nagi,

Co nic nie miał i nie ma, choć wszystkiego
[czeka

I dziwi się, skąd w oczach mu tyle powagi.
Skąd upór i skąd w sercu płomienista rzeka.

Myślałem dalej: jestem sam sobie nieznany,

Co z mozołem opowieść trudną w sobie
[czyta —

Jak ktoś, kto długo jadąc po przez oceany
Ziemię widzi i nie wie, jak ta go przywita.

Wiary żadnej nie pragnę. Nie słabość mi
[każe
Tak całą dumę ludzką spokojnie odrzucić.
Pole, gdy je sierpowi stratują żniwiarze,
Też długo leży puste, choć ma kłosem wrócić.

Wolno mi tylko mówić, jak można najprościej.
To, czego dotknie ręka i zobaczą oczy.
Dzień każdy — kamień głuchy w wielką toń
[przyszłości.
I mileząc, na chleb czarny pracują prorocy.

Wiem, że można rycerskość, męstwo i nie-
[złomność
Złożyć i zamknąć w metrze kwadratowym
[ziemi.
Żadne się pokolenia o to nie upomną
I ani krzyż ni pomnik mogił nie ocieni.

Można mędrca, poetę co światy przemieniał
Grzebać, a twarz mieć będzie murarza czy
[cieśli.
Wieki pochyla głowę przed siłą imienia
Ale nie ludzie, którzy z gruzów go podnieśli.

Bogi wszystkie zawodzą. Zostawmy w spokoju
Religje, co dzwonami wśród sztandarów huczą,
A kiedy barbarzyńcy miecz ogniem uzbroją
Z nimi razem pobitym pieśń śpiewają kruczą.

Doczesna zemsta ludzi i niebieska bogów —
— Obie nade mną wiszą. Która gorsza — nie
[wiem.

I cień swój w nocy widzę i stoję na progu,
A mój dom za mną drżącym dogasa zarzewiem.

Tylko cierpliwie czekam, aż we mnie wyrosną
Nowe ziarna, aż nowe mnie obmyją świty.
I na pochmurnej ścieżce tak witam się z wiosną,
Z głową spuszczoną idąc przez ogród rozbity.

CZEŚĆ TRZECIA

SPOKOJNE SPOJRZENIE

W chwili dziejowej, gdy nic nie zależy od człowieka, wszystko zależy od człowieka — ta prawda paradoksalna ujaronia się dzisiaj szczególnie dobitnie. Jeżeli czasy apokaliptycznej grozy mają jakiś sens głębszy dla życia ludzkości — to sens ten polega niewątpliwie na tem, że są one wielką próbą charakterów i sumień, próbą w której ziarno jest oddzielane od plewy. Nikt nie może powiedzieć czy zostanie między ziarno, czy między plewy policzony. Każdy zmagać się musi ze złem samotnie, zajrzeć w głąb własnej duszy i ustalić swoje miejsce wśród pustoszących ziemię potęg. Musi stwierdzić tak, jakby stanął w obliczu ostatecznego sądu: co dla niego jest cenne, co kocha, w co wierzy.

*I oto nie da się uniknąć obrachunku. Przycho-
dzą natrętne pytania, na które trzeba dać
odpowieź. Trwa wewnętrzny dialog, w któ-
rym wszystko jest ostre, bezlitosne i surowe.
Jak powinienem się zachować, ile potrafię
znieść — i czy biorąc na siebie mniej niż
znieśćbym potrafił nie uchylam się od obo-
wiązku? Jaki jest sens cierpienia, czy po
człowieku, który żył, pragnął i cierpiał —
naprawdę nie zostaje nic, prócz garści po-
piolu, wyrzuconego ręką zbirów na śmietnik—*

czy też może jego męczarnia pada na szalę nieznaney nam sprawiedliwości i tę szalę przechyla? Czy słuszne jest, że tragedia mego narodu przestania mi tragedję powszechną, tragedję globu i cywilizacji chrześcijańskiej— a jeżeli przestaniać nie powinna, to jak mam podzielić miłość i troskę, co dać memu narodowi, a co wszystkim ludom i kontynentom, z których dobiega mnie ten sam krzyk rozpaczny? Jaką drogę wybrać, by sprawa ludzkości stała się równocześnie sprawą mego narodu, a sprawa mego narodu sprawą ludzkości?

Pragnę, by teraz, dopóki jeszcze żyję, dokonała się we mnie przemiana, abym stał się godzien tych dni, które zostawiają mi niepojęte wyroki. Ku czemu jednak podążyć, skoro od patrzenia na piekło stworzone przez ludzi mąci się rozum, a zamykać oczu na wszystko co mnie otacza nie chcę i nie mogę?

Aby odpowiedzieć na tego rodzaju pytania, trzeba być mędrce. Wątpliwe, czy mądrość w takich momentach historycznych jest ludziom dostępna. Z mądrością łączy się zwykle wyobrażenie spokoju i beznamiętności— ani jednym ani drugim nie może się poszczycić człowiek współczesny.

A jednak samo dążenie do takiej przynajmniej mądrości, jaka jest teraz możliwa, przedstawia się jako coś bardzo cennego. Ocalenie świata zależy— wierzymy w to mocno—

od przemiany, jaka dokona się w poszczególnych ludziach, od tego, czy zdołają oni uchronić pewne wartości zagrożone przez rewolucję, jakże słusznie określoną jako rewolucja nihilizmu. Ośmieszane i pomiatane do niedawna słowa, jak braterstwo, wolność, miłosierdzie, dobroć nabierają nowego, nieoczekiwanego znaczenia, brzmią jak muzyka niebiańska — pomimo że zdają się być wykreślone ze słownika współczesnej Europy. Przeniesienie ich przez burzę na drugi brzeg, zachowanie zagrożonego dziedzictwa — oto czego oczekiwać wolno od tych, którzy zdołają wykrzesać z siebie chociaż odrobinę mądrości.

Tego też oczekiwać wolno od poetów. Za pewne, wielką wagę mają obecnie utwory aktualne, podtrzymujące ducha i przypominające wciąż o sprawie. Ale ważniejsze może są wiersze, które dotyczą rzeczywistości bardziej pośrednio, od strony wewnętrznej i stanowią próbę pewnego porządkowania naszych o niej sądów. Istotą każdego porządkowania jest dystans, oderwanie się od jaskrawych faktów, spojrzenie na fakty z wysokości.

Nielatwa to rzecz. Dlatego też cechą charakterystyczną dzisiejszej poezji „czystej”, nie-publicystycznej, jest raczej walka o zdobycie dystansu, niż przebywanie na wyżynach spokoju. Spojrzeć na zjawiska tak, jakby działały się one nie w nas i tuż obok nas,

jakbyśmy nie byli w nie wpleceni, ale jak gdyby dzielił nas od nich obszar dającego właściwą miarę czasu. Spojrzeć na nas samych, jak gdyby nie o nas chodziło, nie o nasze życie i śmierć, ale jakbyśmy byli częstkami wielkiej budowli, tworzonej pracą i marzeniem pokoleń: takie są zamiary poetów, ukryte pod wiązką kilku strof, poprzedzonych, jak wszystko, co z pozoru proste i blahe, długą wewnętrzną pracą przygotowawczą. Nie trzeba chyba dodawać, że poezja taka musi mieć silne akcenty religijne.

Tam, gdzie człowiek staje w obliczu wających się ostatecznych losów, szuka i zawsze będzie szukać pierwiastka niezmiennego, który pośród powszechnej zmienności mógłby służyć za drogorokaz.

POSTAWY

Owego czasu widziałem trzech ludzi. Pierwszy był we krwi, a iż bito go, nieprzestannie krwią broczył. Drugi klęczał, a iż wiązano mu ręce, na klęczkach zostawał. Trzeci siedział za stołem swego wroga, a iż wróg oddał mu cześć, przebywał za jego stołem.

Wtedy pierwszego nazwałem jego imieniem i krzyknąłem mu: „nie umieraj”. A krew wciąż płynęła i poprzez krew odpowiedział: „Wytrwam, bo kocham”.

Potem nazwałem drugiego człowieka i krzyknąłem mu: „Zrzuć swoje więzy”. Odpowiedział: „Jestem słaby, a człowiek, który mnie spętał, ma wielką siłę”.

I nazwałem trzeciego człowieka i rzekłem mu: „Wstańże nareszcie”. I odpowiedział: „Zostanę tu, bo chytry jest mój wróg, a ja pragnę go oszukać”.

Tedy przywołałem anioła jedności i rzekłem mu: „Zjednocz tych trzech ludzi, albo zniwecz ich”. Wówczas anioł jedności wziął krew pierwszego człowieka i pomazał nią dwóch tamtych. I ten co klęczał i ten co siedział zostali pokrzepieni. A człowiek krwawiący wsparł się na nich. I krew mniej silnie płynęła z jego ran. I krew odsłoniła oczy

DOKOŁA NOC

Dokoła noc i wielka cisza,
Bliska, a sercu tak daleka!
W ciemności budzi się strach ślepy
I wyobraźnia, wróg człowieka.

Bogi, centaury i demony
Czynią straszliwe dzieło kata.
Patrzą ze zgrozą i rozpaczą
W przerażający cud wszechświata.

Pod nieskończonych nieb otchłanią
Ziemia w zniszczeniu i rozbiciu.
Nie bluźni tylko ten, kto widział
Światło niebieskie raz w swem życiu.

O Miłosierdzie! Błyskawico!
Rozdzierający noc promieniu!
Przyzywać ciebie nie przestanę,
Póki nie zbudzisz łez w kamieniu,

Choćbym w ciemności wieczność całą,
Bez snu, nadziei i obrońcy,
Tak czekać miał zwrócony twarzą
Ku gwiazdzie nigdy nie wschodzącej.

BOHATER

On w wielości stoi pośród rzeczy,
które rosną w potwornej przemianie,
pośród roślin przezroczystych mieczy,
pośród zwierząt, ludzi, a poznanie
będzie obce mu, by trudniej było
wielość formy połączyć w miłość.

Więc się mienić będą i brunatnieć
w złotych formach dojrzałe oczy,
to obłoki będą dnem się toczyć,
dnem tych spojrzeń, by nie było łatwiej
snów od ludzi, kamieni od rąk
porozróżniać, a gradu od trąb.

A ten, który przeciw niemu zawoła
o swej sile i wstrząśnie owadem
wszechmałości — przejdzie w apostoła,
przemartwiały swej słabości jadem,
i ze strachu potęgę głoszący
w pięści zmienić chce gwiazdy i słońce.

On w wielości stoi. Wśród kaskady
tryskającej mleczem i tonami,
a nie spadnie choć poryty gradem

i nie wiedząc gdzie koniec — nie skłamię.
Ani w bojach zjednoczy się w ogień,
ani w ludziach nie przystanie — z trwogi.

I nie wiedząc choć otchłań zobaczy,
i nie wierząc w wiarę która depcze,
czuciem światła łącząc przez powietrze,
tak gwiazdami i łzami zapłacze.
Ręce prosto kładąc w tęczę tonu,
sklepi ziemię z niebem nakształt domu.
Będzie człowiek w ludziach, zieleń
[w ziemi,
nad wiekami trwający ciemnemi.

PSALM O ŁASCE

Cóż mi Panie, żem lepszy od cieni. W ich tłu-
ognia twoich objawień rozróżnić nie umiem
od cieni, które we mnie i wśród których
jestem sercem ciemności i ciemności żądzą.

Kiedy przeze mnie wołasz, jakże ja ostaję
kiedym jest sam dla siebie obiecany krajem.
I cóż mi, żem szkatuła w której nic już więcej
ponad głos w niej zamknięty i złoto uświęceń.

Ja nie okrętem tobie, bo gdzieby mi unieść
twój czas nienazywany, twoje sny zrozumieć.
Ja sam we śnie płaczący, skutu mały strachem,
przybity niebem znaków jak zwałonym da-
sam swoich dni nie umiem, swych ramion —
sam swoich dni nie umiem, swych ramion —

Przywróć mi, Panie, siłę zamyśleń skupionych,
gdzie mimo trwóg świadomość — ręce są jak
poważne, morzem brzmiące, a światem ser-
co choć w nim, to ponad nim — blaskiem

RÓWNINA

Od lat, od lat, ta sama, niepojęta,
Choćbym za zrozumienie całe życie dał,
Równina pod chmurami niskimi rozpięta
Smugami pyłów i zbożowych fałd.

Od lat, od lat, ta sama, niepojęta,
Z gromadami kobiet na kartofliskach,
Z pólkiem, gdzie koniczyna mieni się nieżżęta,
Z komarów długą skrą przy końskich pyskach.

Biel zim, kos błyski, pożary i dymy,
Zwalone skrzydła naprzemian się wloką.
Łaskę witamy, czy w ziemię schodzimy —
Ona szeroko.

Ni słup objawień, ani krzak Mojżesza
Na widnokregu krańcach nie wystrzeli.
Ci, których krzyże wiatr liśćmi obwiesza —
Też nie wiedzieli.

Od niej, od słońca, oczy ręką skrywać,
A ona tam — bez dna, bez dna.
Zamykać oczy i zapach zgadywać,
Klepanie kos tak mijać, i mijać
Głębinię nocy pod głębiną dnia.

Depczący gruzy w pokrzywach i miętach,
Jakżebym czyny ludzkie sądzić mógł.
Ona, przez wieki wieków niepojęta
Trawą przywianą chyli się do nóg.

Twierdze czerwone, rozchwiane stolice,
Skrzydeł na niebie i drutów potoki
Na chwilę są — i sypią się w pył.
Gdzież łuski murów, łun ruchome bicze,
Gdzie rdzawe baszty? Ja widzę obłoki
I dzień, jak wtedy, przed czasami był.

W bieli południa smutek przenikliwy
Jak samotnego dziecka w parku płacz,
Gdy nad ogrodem wybuchają race,
I pocałunki widzi w świetle rac.

Żywiół nieznany, taka ciemna trwoga,
Starcom stojącym przed wielką równiną
Błysk w końskich pętach, w sennych stada
[rogach

Tak samo płonie i widzą w obłokach
Zbrodnię niewinną.

Na twardej ścieżce przewrócony pług,
Zajęczym śladem rysowana rosa,
I tęcza wzbija się, przebity ptakiem łuk,
Z nieznaney ziemi w nieznanie niebios.

* * *

O miasto, miasto — Jeruzalem żalu,
gdzie wsparte o kolumny — każde drzewo
|krzyżem
nad cieniem mijającym jak cieniem koralu,
który jak płomień niewidzialny liże
stopy zwycięzców i tych, którzy leżąc
pod płytą blasku, w cień blasku nie wierzą.

Miasto niewiary. Czem ty jesteś stojąc
we wszystkich ziemiach, w ognisku i w boju,
czemże ty jesteś i co niesiesz w sobie,
że jesteś na człowieku jak wieniec na grobie,
i rodzisz tylko bezgłowe kamienie
i sen, gdzie nie śniąc
nieodwalone jesteś, gromów brzemień
i martwą pleśnią.

Sen, sen upiorów, gdzie na kwiatach leżą
ludzie ciosem znużenia padli przed wieczerzą,
ludzie u stołów pańskich siadający, którzy
szable splatają w dole, a kwiaty na górze.
Nic nie widzący, w nikogo wpatrzeni,
wielcy na krzywdę ludzką, mali na cier-
|pienie,

upadający — przez ciało chcąc stanąć
i żagwią wznieść pomniki, żagwią umaczaną
w ciałach tych, co nie wierząc — nie wiedzą
|i proszą
i których tylko potem anioły podnoszą
jak liść jesienny w baśni i prostując bożą
ręką tak ukołyszą, aż w Bogu odtworzą.
A ci, jak huragany wszczęte wianiem płaszcza
są, choć przez grozę — silni, gdzie armaty
|paszcza,
gdzie dłoni uderzenie i tak są zwycięzcy
w chwili zbrodni — na wieczność odtworzeni
w klęsce.

O wielcy, których siłę nazywają słabość,
bo śpi w nich jak pomruki lawiny i czeka
na czas wiary, na znamię, na grom i czło-
|wieka,
na burzę planet, na rzeczy nazwanie.
A że z nich tworzą trumny, co w ziemi zwy-
|ciążą,
są zwani słabość, że niema oręża,
że niema na zwaliskach kwitnącego sioła,
że nie rozdepczą małych, bo światło anioła
jest nie przeciw małości, ale obok — znacząc:
wielkość — ciał przerastaniem, nie małych
|rozpaczą.

OPOWIADANIE

Mali chłopcy lekko stopkami
Szron strącali, co w sadzie kwitł,
Opadała gołębia zamieć
Biała jak świt.

W chatach złote płonęło drzewo.
Urzeczony fontanną skier
Rudy kundel w milczeniu ziewał
Pysk złożywszy na pierś.

O, jak bardzo pragnęła wieś
W ciszy nisko ku ziemi przypaść,
Warkocz śniegu za oknem pleść,
Słuchać soków krążących w lipach.

Lecz z zachodu wciąż pomruk szedł
I widziano krzyże ogniste,
Oszalały Łaba i Ren
Aż je musiał zamawiać Chrystus.

Opadł Stwórca groźnie jak jastrząb,
Twardą skałę szponami kuł —
Powstawały zburzone miasta,
Nie ustał przecież ból.

Więc wybrali się chłopci do Panny
Śnieżnej
Co wśród skrzydeł motyli brodzi,
Niech umilknie wrzawa oręza,
Dobry pokój niechaj się rodzi.

M o d l i t w a

Poraż serca Ty, któryś Duch,
Zwierząt stada znów w ludzi zamień,
Ani pozwól, by człowiek głuchł,
Kiedy piękna skryje go namiot.

KOLENDA



- Niedobrzy aniołowie
Stajenkę zaplamicie,
Skrzydła wasze skrwawione,
Srebrne, a postrzępione.
- Matko, lecimy światem,
Czerwona ziemi rosa
Skrzydła nasze obmyła,
Rdzą skrzydła pozaczyła.
- Niedobrzy aniołowie
Dzieciątko przestraszycie,
Spadła Dziecku na czoło
Kropla krwi ciemną smołą.
- Matko, patrz co się dzieje,
Kropla blaskiem jaśnieje,
Z czoła Dziecka powstaje,
Świeci na wszystkie kraje.
- Matko, patrz co się dzieje,
Blaskiem w niebie jaśnieje,
Nad głuchą nocą ziemską
Jest gwiazdą betlejemską.
Gloria, gloria in excelsis Deo!

NAD ŚWIATEM

Nad światem zawisł ciężar, bezlitosne brzemię.
Ach, trud codzienny przestał być codziennym
[trudem,
Życie życiem, plemieniem ludzkim — ludz-
[kie plemię.
Tylko zbrodnia jest zbrodnią, kat katem,
[brud brudem.

Otchłań pociąga otchłań i ginie w otchłani.
Niema chleba ni wina, miłości, uśmiechu.
Nikt nie ujdzie z rozwalin, nie znajdzie
[przystani.
Kłęb robaictwa się tuczy na ścierwie i grzechu.

Nie wytępi zarazy miecz ni deszcz ognisty,
Lecz choć świat cały czeka zguba i zatura,
Człowiek cierpiący musi prześwięty i czysty
Pozostać w mojem sercu dla zbawienia
[świata.

CZEŚĆ CZWARTA

PIEŚŃ WIARY

Doświadczenia wojenne dokonały ważnego przelomu w świadomości kulturalnej Polaków: przybliżyły niesłychanie poezję epoki romantycznej, z wieszczów, dotychczas wykładanych w szkole jako bezpowrotna przeszłość, uczyniły poetów żywych, przedzironie aktualnych. Tak wyraża się gorzka fatalność naszej historii, wciąż odnawiający się powrót na raz już przebyte etapy męczeństwa. Ale nie tylko męczeństwa. Jest to powrót ku wielkim koncepcjom historjoficznym i społecznym, odnowienie wielkiej tematyki, rachunek narodowego sumienia — o, dzisiaj dla nas nie jest to pustem słowem! Być może, że w tem nawiązywaniu do bogatej tradycji myślowej kryje się zapowiedź prawdziwego odrodzenia. Międzywojenne dwudziestolecie nie rozwiązało żadnego z problemów, ukazanych przez najlepsze polskie umysły i pióra. Pytania, które stały przed Mickiewiczem, Słowackim, Norwidem, stoją dziś przed nami, w zmienionej nieco formie, ale o niezmienionej istocie. Wydaje się, że poczucie ciągłości naszej kultury jest dzisiaj o wiele żywsze, niż w roku 1918, kiedy zdobyta niepodległość przedstawiała się ludziom jako próg, dzielący raz na zawsze od mroków niewoli i od dzieł, które

były tej niemoli przejawem. Rzeczywistość wykazała, że wszelkie takie progi i przeskoki w życiu narodu są rzeczą wielce pozorną i że nie da się ominąć pewnych zagadnień, przemijających się czerwoną nicią poprzez karty naszych dziejów, jeżeli nie chce się wpaść w złudny spokój i upojenie mocarstwowym frazesem. Świadomość, że pokolenie obecne jest kontynuatorem myśli i czynu poprzednich pokoleń polskich, że nie jesteśmy skazani na chwytnie coraz to nowych prądów europejskich, ale że cała nasza tradycja jest tradycją walki o wolność i wyzwolenie ludów—oto najpotężniejsza broń—i źródło wiary w Polskę. Ujęcie tych procesów myślowych w formy literackie jest sprawą trudną i, sądząc z wierszy, na jakie natrafiliśmy, mamy do czynienia raczej z pierwszemi jaskółkami, niż z objawami daleko posuniętego rozwoju. Niemniej wysoce interesujący jest fakt pewnego nawiązywania przez poetów do twórczości romantyków i sięgania po tematy, których dawno już nie oglądała poezja polska.

ROK 1941

Jak feniks, ptak wieczności, wśród błękitna-
[nawych płomieni
spala się w gnieździe, pełnym
klejnotów, boleści i blasku
i silnie pracując sobą, utrudzony,
w obfitej płodności mąk
sam siebie rodzi po raz wtóry,
sam siebie — młodego i doskonałego kształ-
[tuje i stwarza —

tak i nam daj, Boże, byśmy z tej otchłani,
gdzie cierpimy zanurzeni po szyję w żywiole
[ognia,
z tej olbrzymiej kadzi ucisku, w którą
wrzucono nas, naród duży i mający prawo do
[życia pod słońcem —
wyszli jak dusza z płomieni czyśćca
odrodzeni i nieśmiertelni.

Pali nas czworo płomieni,
czworo płomieni silnych i świetnych jako
[serafów czterech

o gębie pyzatej i ciele lwa,
a każdy ma szesnaścioro oczu,
na pośladkach pięć,
na piersi pięć,
na żywocie pięć i na czole jedno, wszystkie
[zaś blade
na podobieństwo kamienia, który diament
[zową.

Imię pierwszego płomienia — głód i mróz,
imię wtórego — ból cielesny,
imię trzeciego — lęk,
imię czwartego, a ten najostrzej pali — hańba.

Ze straszliwych kaźni Oświęcimia i Dachau,
z nad dalekiego Amuru, z Syberii krainy
[wygnania dla kobiet
[którym dzieci wydarto,
z obozów niewoli,
z płonących wsi i miast,
z sal szpitalnych, gdzie bez narkozy amputują
[ręce i nogi,
z kuchni nędzarzy, co na 20-stopniowym
[mrozie czekają na łyżkę
[cuchnącej zupy,
z pod ruin domu, gdzie żywcem zasypani
[oszaławszy ogryzają w milczeniu
[palce do kości i uśmiechają się —

podnosimy twarz ku tobie, Boże,
i patrzemy jak patrzył Hiob
w dzień dopustu,
w godzinę poniżenia,
z gnoju barłogu, kędy toczony przez czerwie
[leżał siłując się w sobie.

Porwała nas burza i niesie nie wiemy dokąd,
ziemię wydarła z pod nóg,
zagasiła nad głową słońce, światło wolnych,
na ogromnym nurcie ryczącym płyniemy
[w ciemność.

A to jest krzyk bólu, krzyk z dna,
krzyk narodu, który rozszarpano i skuto,
krzyk 30 milionów ludzi pogrzebanych
[żywcem,
krzyk bez słów.
Bo dawny język struchlał i usechł w gar-
[dzielach naszych
(zbyt nikły by wypowiedzieć dzień dzi-
[siejszy)
i serce dawne w nas zagasło, a nowe serce
rodzi się dopiero wśród mąk; i mowy nowej
uczy nas
olbrzymka elektrycznooka
o kształtach olśniewająco okrutnych i po-
[tężnych — Historia.

Lecz chociaż wielu zginie,
może ja, może ty,
nie zginie naród.

A nie dlatego ma do istnienia prawo, iżby
[przyrodzona mu była
którakolwiek z cnót cennych, pracy cnota
[albo uczciwości albo
zgody.

My nawet
oblicza własnego nie znamy ni własnej siły,
zbyt leniwi ku temu będąc,
by podjąć trud
rzeźbiarza, co z poczwarnych mroków ka-
[mienia
wywodzi świadomą twarz posągu o rysach
[zdecydowanych.

Lecz dotąd zawsze jeszcze
tylko żywioł jest w nas, tylko żywioł ciemny
krzyczy, gdy dziejów anioł
wrzącą garścią za kudły chwytając narody
gwałt im czyni, aby wydały
głos przyrodzony sobie.

I nie dlatego wolność dana nam będzie,
[żeśmy umieli
w niej żyć — bo tak nie było.
Lecz — że umierać dla niej umiemy.

A dotąd
chaos imię narodu. Embriony gwiazd
śpią we wnętrznościach naszych czekając
nocy męki, by się narodzić. Oto dziś
noc jest nad nami i męka w nas. Tedy
[wejdźmy w siebie,

Czyli nie zbliża się
czas porodzenia?

Co daj Boże Wieczny i Silny. Amen.

PIEŚŃ WIARY

Wymijają się ładowne pociągi ze szwedzką
|rudą i bułgarskim tytoniem
Na południkach Europy, gdzie już nie ma
|ojczyzny żadnej.
Przez mosty, napięte jak nerwy, prą na oślep
|smoliste konie
Nad wodami zamglonych rzek, pośród łągów
|pachnących jak dawniej.

Czy historia tablice z miedzi drąży dalej wie-
kuistym rylcem?
Czy w wąwozy mitologiczne odrętwiały za-
|pada czas?
Oto ludzi — kundle zziajane po zaułkach tropi
|żołdak-hycel...
Zeschłe czaszki wystają z bruku odrutowa-
|nych miast...

Ulicami najnowszych dzielnic, zaśmieconych
|końskimi kośćmi,
Błądzą gnomy o dziecinnych maskach, prze-
|ciągają ludzkie zaprzęgi.
Człowieku - koniu, nie wzdychaj: tu nawet
|szept jest za głośny. —
Szept krwi, co się burzy w tobie bilionami
|zawilej potęgi!

Ufaj wiedzy majowych drzew — wieszczym
[prawdom zielonych bibliotek
I brocz potem, człowieku-koniu, uciekaj,
[człowieku-psy!

O zmroku wczytuj się w gwiazdy, jak w
[ozdobne litery złote,
Jeśli zasnąć nie zdołasz — na jawie; jeśli za-
[śniesz — w niespokojnym śnie.

W nienawiścią zwężone źrenice rankiem wci-
[ska się głodowe lato.

W nienawiścią zwężone źrenice mży niebios
[błękit pruski,

Pijemy zdrowie przyjaciół aż z Zambezi przy-
[słaną herbatą

I gmachy urojonych stolic szkicujem na ry-
[zach pustki,

O, Warszawo! Ty, nadobna — w jakim swoją
[piękność odnajdziesz lustrze

I obłoki nad domami rozsnute, kędzierzawe
[i płowe jak dym?

Za młode twoje ruiny, nie odziane miłosier-
[nym bluszczem!

Dwa tysiące lat wartoby czekać, żebyś była
[jako drugi Rzym.

Antyczna Nike ma skrzydła i rwie naprzód
[nieomylnie, wyniośle

W kamiennej bezgłowej dumie, w muzealnym
[solewnym milczeniu;

Lecz tobie dwudziestoletnie ramię nigdy już
[nie odrośnie,
Żebrzący inwalido, co pod murem grasz na
[grzebieniu!

Wśród okien szklących się niebem tak nam źle,
[i ciasno, i duszno...
Wiosna zdziera uśmiechy z twarzy umalowa-
[nym kobietom,
Niech zakwitną żołnierskie krzyże, zanim dę-
[by sybillińskie uschną,
Nad czarne modrzewiowe deski ogniotrwałe
[niech wstąpi żelbeton!

Wrzesień spalił modrzewie i usta — milczę: to
[moja pieśń wiary,
Wspinająca się skarpami nocy tratowanych
[przez Wielki Wóz.
To nie pieśń, to wicher gorący dmie w dzie-
[jów mroźne obszary,
By dojrzały w nich piersi zdobywcze, mądre
[dłonie i mężny mózg.

Pamiętacie? Wzdłuż dróg jak pociski wy-
[buchały czerwone klony,
Kiedy Polska cofnęła się zewsząd pomiędzy
[Wisłę i Bug.
Dziś znów biegną na wschód i na zachód
[nieskończone ojczyście zagony —
Na urodzaj czołgi pracowały żarliwiej, niżli
[kmiecy pług.

Nadaremnie Łazienki się bronią przed na-
[jazdem wiosennej żaloby:
Chora gwiazdami z zielonego kiru jak zamczysko
[park powiewa cały!
Płyty w lochach kościelnych omszałe prze-
[suwają się z grobów na groby,
Echom przysięg Kordianowych do wtóru
[chrzęszczą skrycie sennie arsenały

Niby maj; niby upał; cisza... A tam kędyś—
[gdzie indziej — wszędzie
Drżą w febrze piętra betonu i armaty nie-
[ustannie kaszlą...
Tu też ruń przeczuwa, że wojna znowu po
[niej twardym krokiem przejdzie,
Cała w grzechocie oręza, pod łuną ogromną
[i jasną,

Pancerniki brytyjskie rozwożą po bezkres-
[nych oceanach Anglię,
Samolotów bojowych eskadry polskie prawo
[stanowią w błękicie,
Torpedy na Atlantyku zatapiają statki i —
[nostalgię,
Z bomb, jak z nasion rzuconych nad Renem,
[na Mazowszu wchodzi żyto i życie.

Na burych obozowych narach noszą ciała
[zakute w mosiądz,
Piszczelami gracują ścieżki wzdłuż na głucho
[zatrzaśniętych bud;

Mechanicznych nekroflagów szczęki na Mo-
[rawach trzeszczą dniem i nocą,
Bezimienni upadają snem śmierci, ale żyje
[i żyć będzie lud!

Ile pojał z języka ptaków Zygfyrd, juchą
[smoczą obmyty?
W kilometrach koleczastych drutów o czym
[śpiewa monotennie prąd?
Jastrzębie oczy Hagena przebijają srożej niż
[dziryty...
Po wędrówce wśród piekieł niewoli każde
[żywe serce — wolny ład.,

Kłębią się chmury orawskie, jak baśniowych
[potworów grzywy,
Rozmiatając szciodrze nad światem relikwie
[spopielonych ciał.
O, tęczo nad graniami Tatr! Bądź jak pło-
[mień szkarłatny krzywy,
Żeby stąd na glob cały przełęczami głos pło-
[mienny wiał!

Nad liche mauzolea z drewna wybudują ro-
[sochate pięści,
A każda taka pięść nawałniczne chmury
[uśmierza...
Widzę: niebo stężałe rozcina niespodziany
[pomnik — Oświęcim,
Jak słup ognia nad biblijnym wojskiem, jak
[nowa Arka Przymierza!

Choćby ze wszystkich stron Polski tu zsy-
[pali taczkami cmentarze,
Choćby dno wyszarpali z Soły — żadna hań-
[ba w niej nie utonie!
W kieleckich kamieniołomach w pogotowiu
[drzemią przyszli rzeźbiarze
I śląskim dynastycznym dębom jak co roku
[zielenieją skronie —

Znak, że przestrzeń sobie rozewrze kraj ten
[zgrzebny, kraj ten ubogi!
Pulchnieje grunt, co wykarmić umie tylko
[chłopa, wyrobnika;
Kłosa podchodzą cichcem pod kołodzieja
[progi —
Świt anielski zastanie chatę w wysokopien-
[nych muzykach.

W czarnoziemiu czuwa nieśmiertelność — or-
[ganiczny groźny dynamit.,
Klepsydry równonocy mówią, że się dzień
[wyznaczony zbliża:
Bóg z nieznaných prefiguracji — podobnie jak
[przed wiekami —
Człowieczeństwo zwlekając z gwoździ, wy-
[prostuje ramiona krzyża,

BALLADA O SERBJI

Jeśli to nie są dni ostatnie
I dane będzie dziejom trwać,
To w jakim kruszcu trzeba lać
Posągi twoje, kraju bratni.
Złoto rozdrapią, spiże stopia,
Marmury zmiążdży czasu młot
I tylko wiara jest jak lot
Ptaków, co w niebie wieczność tropią.

Jak ten, co wiosną się otula
Wbrew słońcom, wichrom, zimnu wbrew
W pąki po śmierciach, zimy krzew,
Był kraj, miał kraj młodego króla.
Gdy świszczwał bat i dzwonił łańcuch,
Djabelska noc jeżyła włos,
Na zgliszczach wołał matek głos:
Serbjo, na pomoc chrześcijaństwu!

Ten krzyk zdławiony zbudził Serbję
I porwał ją i uniósł wzwyż.
A potem wbito ją na krzyż
W dolinie ziemskiej, w kraju cierpień.
Dwanaście dni, dolino płaczu,
Dwanaście nocy płonął bój,
A gdy ucichły chrzęsty zbrój
Stała nad krajem pieśń rozpaczy.

Rachunek, handel, służba sile,
Tem wszystkim umiał gardzić Serb,
Więc długo jeszcze śmierci sierp
Grzął w kurzu krwi i ziemskim pyle.
W łoscocie wozów i latawców
Zobaczył wśród ognistych grzyw
Król, jak dziecięcy męstwa zryw
Miażdżył żelazny krok oprawców.

Przesłanie:

Dwanaście dni, dwanaście nocy
Za dwa tysiące starczą lat,
Gdy dzwoni łańcuch, świszczę bat
I rzy djabelska pieśń przemocy.

PIEŚŃ NIEWIDOMYCH NIEMCÓW

Nie widzieliśmy wspaniałych dni
Ani sławy Ojczyzny naszej,
Gdy nasz wielki i mocny Wódz
Gromił silnych, a słabych straszyl.

Na wypukłych bukwach naszych pism
Czytaliśmy tylko że lwie
Męstwo mają nasze wojska
I padają jak ścięte pnie
Kraje: Francja, Norwegja, Polska...

By nadludzką potęgę wzmódcz
Mocny musi być kolor krwi,
Straszny musi być woli błysk.
— Jakim blaskiem dzieje świecić mogą?
Kto planetę ugniata trwożą?

Ślepe nasze oczy w mętnych mgłach
Nie widziały tych dni szczęśliwych.
Ciemności nieprzebyty piach
Jak pustynią je zasypywał.

Ułomne są dusze ułomnych, więc
Jak chwasty w nich rośnie niepokój.
W myślach naszych mogły się lędc
Zapytanie jak groźne smoki.

Pierwszy smok: Niepewności trąd...
Z nim walczyły słowa prelegentów,
Prelegenci mówili: Ten ład
Wódz wasz dźwiga z mgły i zamętu.

Przez dwadzieścia ciemnych lat
Osaczały karły olbrzyma.
Dziś ten olbrzym zemsty bat
Nad karkami niewolników trzyma.

Praca, krew, panowania głód
Niosą światu zmianę doniosłą
I rozgniata Victorii but
Wszystko to, co do nas nie dorosło.

W gęstym lesie ślepoty twej
Chociaż smok niepewności szydzi:
Niewidomy Niemcze, ufność miej —
Wódz ze wszystkich najlepiej w i d z i.

Drugi smok wyszczerza oto kły:
Żal z powodu nieuczestnictwa;
Że na świat nakładamy nie my
Pęta słusznego niewolnictwa.

Ciebie niema, gdzie dzwoni krok
Największej w dziejach przemiany —
Szczerzy kły nieudziału smok,
Kąsa, jątrzy ambicji ranę.

Niewidomi Niemcy! Brak rąk
Waszych w dziele — dzieła nie rozbija!

Jedni poto są by ziemi krąg
Ogarniać, a drudzy by mijać.

Nie zażąda od Ciebie nikt
Byś młot dźwigał lub z armat strzelał,
Ale trzeba byś stłumił krzyk
O twym życiu bez dna i celu.

Gdy smok drugi rozgromiony zczeźł,
Trzeci smok wychyla wnet głowę:
— Prężność rasie twej — tobie kres,
Twe istnienie bez wartościowe.

Nieudany stworze, na szmelc,
Jak maszyna źle wykonana!
Nawet w polu wśród walki lec,
Nawet stopniem ci być nie dano.

Niewidomi Niemcy! Mężny duch
Niech i tego smoka pokona.
Świat to wojna, przyływ i ruch
A na waszych oczach zasłona.

Wypełnicie powinność, gdy żal
Zasłonicie kurtyną milczenia,
Kiedy gaszą serjami salw
Wasze życie niewarte istnienia.

Świat zbyt ważną areną jest
Byście mogli pozostać na scenie;
Twardej pychy dostojny gest
Niepokorne niesie pokolenie.

Niewidomi! Na okręcie wśród burz
Lute prawa panują pokładu.
Jak surowy, ofiarny nóż
Spada na was Słuszna Zagłada.

Własny żołnierz, może brat, może syn
Gdy rozkaże: ślepych za burtę!
Sprawiedliwy, jasny jego czyn, —
Zawsze ciemnym płynęliście nurtem.

Ludzie — widma mijali was,
Rozpływały się głosy w cieniach.
Niewidomi Niemcy, niechaj głąz
Śmierci będzie gładem uciszenia.

Niewidomi Niemcy! Rosną mroki.
Potężnieje, wzbiera mroków szarża.
Ciemność dzwoni, wybija kroki,
Werblem, dzwonem, hukiem oskarża!

Ciemność kłuje, uderza, przesywa,
Bije, szarpie, zwała się młotem,
Przyobleka się w smoki żywe,
W wonie kwiatów, w myśl i tęsknotę.

Gdy tęsknota ciemność rozedrze,
Gdy się mroki marzeń ulękną,
W ziemskiej, kruchej człowieka katedrze
Pełza płomyk nieśmiały: piękno!

Mchy na gładach nie widziały,
Drzewo, trawa nie powie: patrzę,

Ale świat ten niedoskonały
Gra swą prawdę w ziemskim teatrze.

Oto idzie w górę kurtyna,
Uwerturę grają organy:
Miał pan możny dwie córy i syna,
Ślepy syn był najwięcej kochany.

Córki rosły dorodne i hoże,
Ale świat je zabrał rodzicowi.
Jedną uwiózł małżonek za morze.
Druga welon nosi na głowie.

Ojczy, syn ci pozostał w domu!
Czułość tuli wątlego i troska.
Jemu państwo z muzycznych tonów
Wybuduje miłość ojcowska.

Jeśli miłość ta w gmachy zastygnie,
Dotykalne piękno obudzi!
Niewidomi! Miłość jest dźwignią
Wielkich miast muzycznych dla ludzi.

Gdy kurtyna opadła, i w górę
Znów ją znoszą przed bajeczną sceną,
Zobaczycie starca z kosturem
Na wysokim brzegu nad Renem,

Nie dla starca płynące tratwy,
Błękit nieba i szafir rzeki,
I ten cały horyzont łatwy.
On ogląda światy dalekie.

Potem starzec z brzegu co się spiętrza
Nad falami sunącymi w półgwarze
Jak monstrancję wizję wewnętrzną
Tłumom z brzegu drugiego ukaże.

Kim był starzec? Mędrce? Czy artystą?
— Czy też most przerzucał nad wodą?
Przesłoniła kurtyna mglista
I na trzecie widowisko nas wiodą.

Kiedy tundry dalekie i stepy
Kwiat wybrany narodu użyźnił,
Szła ostatnia dywizja ślepych
Już nie zwiększać, lecz bronić Ojczyzny

Gdy zabrakło do walki zdrowych
O jastrzębim spojrzeniu ludzi,
Chromi bunkry zajęli i rowy
I umieli brać w boju udział.

Gdy nadeszła pora bolesna
I kraj cały w ogniu utonął,
Monastynu, Kolonii, Drezna
Obronily kalek bataliony.

Spada trzecia kurtyna nocy,
A z jej szmerem wszyscy pytacie
Gdzie zniknęli Niemcy zdrowoocy
Gdy powstałi Niewidomi Bracia?

Rosną mroki. Kosmata łapa
Coraz nowych dotyka oczu

Porażony organizm świata
Nowy wybuch znów niżej toczy,

Rosną mroki i kroczą noce,
Lecz w tym wirze i w tej zawiei
Jak zwodniczy ognek migoce
Chybotliwe światło nadziei.

Płynie Ren. Oba brzegi błyskiem
Ogarnęło słońce to samo.
Jeden brzeg jest płaski i niski,
Drugi brzeg z postrzępionych gór:
Na nim widzę kościół i zamek.

Płynie Ren, a szmer boski rzeki
I żołnierzy niewidomych kołysze
I podziwia go ślepiec młody
Zasłuchany w pieśń Renu cór
Dla którego ten poemat piszą.

Jak obłoki wzbierają wieki,
Owocuje wieczności sad.
Patrzy niebo w strumienie wody.
Ren odbija nadziemski świat.

BEZ TYTUŁU

Chociaż powietrza brak dla płuc,
Jasności dziennej dla oka —
Jakaż nas czeluść zdoła zmóc,
Gdy w piersi wolność szeroka?

I cóż, że ciemno, cóż, że dni
Nim się narodzą — gasną,
Jeśli żar mocy w oczach lśni,
A w czystym sercu tak jasno?

I cóż, że jeszcze minie czas,
Nim dłoń się weźmie do dzieła
I zedrze noc, odwali głaz —
Gdy — „jeszcze nie zginęła”!

* * *

Twardy jak zgon jest cios pogromu,
Państwa i wojska wali w gruz,
Lecz w gruzach rozbitego domu
Już nowy mur w udręce wzrósł.

Już za tym murem stoi człowiek,
Okopu niestrudzona straż,
Sen zdziera ze zwycięzcy powiek
Metalem woli lśniąca twarz.

Hej, ostro, dziarsko świszczą baty
I buty z hukiem tłuką w bruk,
I mocno tkwią wiezienne kraty,
I miasto z męki drży i trwóg —

Lecz ponad but, i knut, i kule,
Nad popiół serc i zgliszczą strzech —
Dźwiga się w piersi, jak w kopule,
Odwetu i zwycięstwa dech!

Jakimże wichrem w śmierć uderzy,
Gdy się przesili wreszcie dzień. —
O tchu młodości, mocny, świeży,
O wichrze naszych żądz i śnień!...

PIEŚŃ NIEDOBRYCH SYNÓW

Kraino smutna, rozdarta i dzika,
Matko proroków, ojczyzno mścicieli,
Rozwiąż nam usta, daj szczerłość języka,
Spraw, byśmy w Tobie umierać pragnęli.

My, z żalu niemi synowie niedobrzy,
Ileśmy razy Tobie urągali.
Ukrytej hańby potomność nie dojrzy
Ani zrozumie, jaki wstyd nas pali.
Więc, zanim wina w cień wieków upadnie
Zanim śnieg czasów ślady nam zabieli,
Wzrokiem nas przebij, co miłości pragnie.
Abyśmy w Tobie umierać pragnęli.

Ileż to razy inne, lepsze kraje
Nad ciebie, Matko, myśmy przełożyli.
Sławę, bogactwo kładliśmy na szalę,
Czekając kiedy waga się przechyli,
Teraz, gdy jesteś głodna i straszliwa,
Gdy twoja ręka chleb ze drzeniem dzieli,
Krzyk twój ze czterech stron świata przy-
[zywa
Abyśmy w Tobie umierać pragnęli.

Są piękne kraje, gdzie dzieci w łachmanach
Nie kradną węgla na brudnej ulicy,
Gdzie wino w ciężkich przelewa się dzba-
[nach,

A dzieje biegną, jak bicz błyskawicy.
Żeśmy tak trudu swego zaniechali,
Żeśmy mówili: to zrobią potomni,
Omiń nas, Mądra. Idź dalej, idź dalej.
Zapomnij imion — jak człowiek zapomni.

Praca i mądrość gdzieindziej są w cenie,
Pustych wyrazów nam wystarczał przepych.
Nie było czynem naszych serc marzenie,
Ale ucieczką i pociechą ślepych.
Żeśmy swej drogi szukali powoli,
Wtedy gdy niebo dokoła goreje,
Nie nam daj, Matko, w łaskowości swojej
Wieniec z wawrzynu, który splecą dzieje.

Staniesz, ogromnym wichrem owinięta,
Braterska w ludów przemienionych kole
I ręka twoja bliznami przecięta
Garść kwiatów złoży na mogił cokole.
Lecz zawsze, dzisiaj i gdy dzień nastanie,
Gdy chór narodów pod niebo wystrzeli,
Dzieciom w kołyskach daj to miłowanie,
Abyśmy w Tobie umierać pragnęli.

MODLITWA
DO MATKI BOSKIEJ POCZAJOWSKIEJ

O Matko Przebaczania! Kto drugi przebaczy
Jak Ty mnie, co grzeszyłem przeciw Twojej
[ezci,
Kto drugi nawet karać grzesznych ust nie ra-
[czy,
Lecz ucisza lamparty, higieny i lwy?

Jak niemowlę co ledwie bełkotać się uczy:
„Mama”, „tata” wymówi, albo „nie” i „tak”,
Nieporadnie się sęczy mej modlitwy ruczaj,
Podrywa się do lotu jak młodziutki ptak.

Ile razy do Ciebie Opiekunko ludzi
Zwracałem się znękany w tych surowych
[dniach?
Los uderzał po twarzy i dłonie nam brudził
I kroki coraz słabsze więził miałki piach.

Nieufni jak Tomasz, a jak z Lourdes dzie-
[weczka
Nieświadomi, patrzyliśmy w codzienny cud:
Na skraju wodospadów drży licha łódeczka;
Czyja ręka ją strzeże od zalewu wód?

Kto wśród mrozów rosnących w te zimy tak
[srogie
Dzieci przed zamrożeniem jeden chyba
[strzegł?
Kto w ostatniej już chwili opał niósł na ogień
Kiedy kładł się za oknem cora większy śnieg?

W czas okrutny i straszny, w czas burzenia
[ziemi,
Gdy lądy rozkołysał dźwięk marsowych tręb,
Ujmowałaś proszących rękami zbawczemi
I wiodłaś zabłąkanych po ścieżynie bomb.

Ty, która uciekałaś do Egiptu sama,
Gdy blisko za Twym Dzieckiem cień siepacza
[biegł,
Niejedno stado ludzi w Twej Opieki bramach
Znajdowało swą przystań, ratunek i brzeg.

Za Twoim przyczynieniem, gdy śmierć wokół
[rzęzi
Ranny żołnierz docierał do dalekich nosz,
Z pociągu umiał uciec do rodziny więzień
A ręce wyciągniętej spadał z nieba grosz.

I to było największym wtedy właśnie cudem
Ten chleb, który nam spadał w głodu, lęku
[czas.
Serca ludzkie jak kraje ogniem płoną rudym,
A jedno wielkie serce przygarnęło nas.

Matko ludzi, co w takie wpędzili się dzieje.
Matko ludzi grzeszących i czyścówych dusz,
Oto widzisz, na niebie już jutrzienka dnieje
I wiosna, Wiosna Druga u wrót stoi tuż.

Nie słyszano, by kto się do Ciebie ucieka
Nie został wysłuchany u skraju Twych szat.
Jak mnie cudem w tych latach chroniłaś czło-
[wieka,
Obroń wiosną co idzie, zrozpaczony świat.

Daj mojemu krajowi lud męzny i twardy,
By pod ciosem nie upadł, lecz ożył i krzepł.
By umiał siebie cenić, a nie czuł pogardy
Do ludów, które wspólny zamieszkują step.

Tylko wtedy początkiem dla nowego świata
Potrafi być zwycięski i radosny rok,
Gdy brat Polak w Rusinie ujrzy swego brata
I gdy z mgieł nienawiści oczyszczą swój wzrok,

Tutaj musi się zawrzeć to złote ogniwo,
Które w łańcuch szlachetny zwiąże z ludem
[lud.

Wiem Matko, że Cię błagam o rzecz niemożliwą,
Lecz przecież Ciebie wolno błagać i o cud.

Ojczyzny moje ziemskie — Matko Ukraino
Trzebiona i orana przez moskiewski miecz,

I Ty, o Matko Polsko — wasze rzeki płyną
Do mórz dwojga, lecz tworzą jedną, wspólną
[rzech.

Kiedy bratnie narody zrównało nieszczęście,
Niechże wiosna co idzie da przejrzenie im,
A Matka Poczajowska w archaniołów chrzęcie
Ześle wolność narodom od Odry po Krym.

I dzieje nienawiści, dzieje niepokory
Co Sarmatów i Scytów rozdzielały już,
Modłę się, żeby znikły na zawsze od pory
Co do gardła narodom przyłożyła nóż.

Pustynio Mazowiecka, Czarnomorski stepie,
Nieszczęście was zbliżyło, niech krzywd zgła-
[dzi ślad.

Tę modlitwę do Matki Boskiej szat uczepię
Do uszu będę ciągle nowennami kładł.

Aż przyjdzie czas, gdy dzieci idąc do Komunji
Z wiązkami konwalji, albo białych bżów
Hymn pochwalny zapieją do Sprawczyni Unii
Co już światy, nie ludy poogarnia znów.

A wtedy ja, poeta z siwiejącą skronią,
Widząc Unię narodów u stóp Unii wiar,
Będę pomniał kto prośby wysłuchiwał o nią
I kto ręką uchylił miecze Bożych kar.

CZEŚĆ PIĄTA

DROGA DO POLSKI

Poza granicami niemieckiej okupacji, w różnych krajach i na różnych kontynentach powstaje polska literatura emigracyjna. Wraz z przedłużaniem się działań wojennych, pogłębiają się różnice pomiędzy sposobem odczuwania i myślenia emigracji i kraju. Różnice te nie są, jak dotychczas, zbyt duże: góruje nad nimi wspólność pragnień i dążeń, wspólność walki. Mimo to jednak istnieją.

Znaczna część pisarzy emigracyjnych wie o cierpieniach kraju tylko z opowiadań. Już to jedno zmienia ich spojrzenie na rzeczywistość, wyzwala od ciężaru codziennego obcowania z obrazem ludzkiej męki, co przygniata wszystkich, którzy w kraju pozostali. Tam, na emigracji, mogą otwarcie myśleć i głośno mówić, mogą z bronią w ręku wziąć udział w boju, mogą opracowywać plany przyszłej odbudowy. Tam patriotyzm jest zaszczytną legitymacją zarówno wobec zbiorowisk polskich, jak i wobec obcych społeczeństw. Tu jest sprawą, za którą płaci się gardłem. Emigracja zna jednak uczucie, którego nie zna kraj: tęsknotę. Tęsknota do rodzinnej ziemi, niejednokrotnie sprawia, że Polska dla nich jest bardziej marzeniem, niż chlebem powsze-

dnim. W tych warunkach zrozumiałe są pewne rozbieżności w atmosferze uczuciowej utworów powstających po tej i po tamtej stronie frontów. Rozbieżności owe utrudniają niekiedy zrozumienie się wzajemne, powstaje rywalizacja o przewodnictwo duchowe.

Przedstawiciele emigracji mają silne poczucie swojej roli jako jedynych wyrazicieli świadomości narodowej. Kraj—twierdzą oni—jest wycieńczony nędzą, terrorem i zużywa wszystkie swe siły na samo przetrwanie. Nie jest więc zdolny do zrodzenia twórczej myśli. Ta myśl twórcza może powstać tylko w Londynie czy New-Yorku, gdzie istnieje swoboda dyskusji, a dokładne wiadomości z całego świata pozwalają wyrobić wszechstronny i wyczerpujący pogląd na sytuację międzynarodową. Nie — odpowiada na to człowiek z kraju — wszystkie istotne przemiany, które zadecydują o wyglądzie przyszłej Polski dojrzewają tu, w szerokich masach ludowych; wyolbrzymianie roli emigracji jest złudzeniem, które mamy do zawdzięczenia legendzie Wielkiej Emigracji XIX-go wieku.

Rozstrzygnięcie tego sporu przekracza możliwości tkwiącego w sercu burzy obserwatora. Najmłańszym byłoby chyba stwierdzenie, że rozbieżności są wielce pozorne, nieważne i że chodzi tu raczej o podział zadań, zmierzających do tego samego celu, niż o jakieś zasadnicze różnice.

Możnaby tylko spierać się, po której stronie jest wyższość talentu. Słowo pisane pod okupacją jest przyciśnione, matowe, zbliża się do szeptu, jak gdyby w ten sposób wyrażało się bezustanne zagrożenie, w jakim żyje mieszkaniec spustoszonych przez wojnę miast i wsi. Jest może szersze, bogatsze w odcienie, bardziej przytem skomplikowane. Poezja emigracyjna ma silne zabarwienie propagandowe, odznacza się rozmachem i — nostalgją; tęsknota prowadzi do wspomnień, wspomnienia — do idealizacji tego, co zostało odjęte. Zresztą najlepiej porówna sam czytelnik, zapoznając się z utworami emigracyjnymi, które zebraliśmy w ostatnim rozdziale książki.

DROGA

Droga wiodła z daleka, droga wiodła przez
[Narvik
Do Warszawy, Lwowa i Wilna, do Wisły,
[Bugu i Narwi.

Wiadomo, że nie zginęła. Wiadomo: póki
[żyjemy...
Podchorąży, dowódco drużyny, uważaj na
[erkaemy.

Pilnie szukaj kierunku. Prowadź sprawnie
[a prosto.
Ja te norweskie wystrzały słyszałem w celi
[nad Moskwą.

Chciałem porwać karabin, chciałem biec
[w tyralierce,
Ale milczały maszynki i tylko waliło serce...

Droga wiodła przez fiordy, droga wiodła przez
[śniegi,
Przez Węgry i Bukowinę, przez Wogezy,
[Szkocję i Egipt.

Wiodła przez tundrę i tajgę, przez stepy kir-
[gizkie Rosji,
— Na drodze, na drodze dalekiej w walce żoł-
[nierze wyrośli.

Podchorąży dowódco drużyny, niema śmierci,
[jest rozkaz.
Każda mogiła — to okop, każdy trup — to dro-
[gowskaz.

Pilnie szukaj kierunku. Poprzez fiordy i śniegi
Droga wiedzie do Polski ze wszystkich na
[świecie Norwegij.

Nad tą drogą już leci pieśń moja mściwa
[i gniewna,
Na ziemię przez wroga zdeptaną, do Warsza,
[wy, Krakowa i Gniezna,

Aż się od krwi niemieckiej Wisła czerwieni
[zabarwi,
Aż się w zwycięstwie zagubi droga przez
[Moskwę i Narwik.

Moskwa we wrześniu 1941 r.

POZDROWIENIE DLA AUTORA „DROGI”

Słowa twoje i los twój tak mocno się zrosły
Jak korzenie drzew silnych, których czas

[nie zwali.

Zostanie czyn twój, głos twój i twój śpiew

[podniosły

Wszędzie, gdzie będzie Polska, gdzie będzie

[socjalizm.

Tym, co krzycząc: „Do broni”, uszli za

[Atlantyk,

Nam słabym, co się żremy w potępieńczych

[swarach,

Twój wiersz i twój karabin, twój bunt i ro-

[mantyzm

Niechaj serce podniesie, dźwignie na sztan-

[darach.

Twoje to będzie dzieło i tobie podobnych,

Że się z ruin podźwignie znów Rzeczpospolita,

Że na gruzach Warszawy, na zgliszczach ża-

[łobnych

Nasz Londyn waszą Moskwę po polsku przy-

[wita.

New York w listopadzie 1941 r.

ROZMOWA

O, jakże sercu są bliskie
Historją spiętrzone mury,
Małe uliczki paryskie,
Piosenki architektury.

Wystarczy spocząć gdzieś w bistrze,
Siądzie przy tobie swoboda,
I wiatr ci jak kolner poda
Poezji strofy najczystsze,

Choć wiosna tkliwie okrywa
Pary zielenią i złotem,
Choć miasto wznosi, porywa,
Ulic strzelistych wylotem,

Napróżno czaruje mnie falą
Sekwany, co szumi zamglona,
Wstęgą, co lekko wzniesiona
Łączy Concorde z Etoilą.

Próżno rysunek misterny
W złoto i błękit zanurza —
Przywlókł się tu za mną wierny
Mrok warszawskiego podwórza.

Jak pies u nogi waruje
I mroczne ślepia podnosi,
Czego tak wciąż wypatruje
I o co bezradnie tak prosi?

Nie wiem czy kiedy powrócę,
Kogo przywitam, pożegnam,
Lecz ciebie już nie porzucę,
Lecz ciebie już nie odegnam.

Skamlesz u nóg pocichutku,
Jak pies podnosisz wzrok łzawy,
Nie bój się, wierny mój smutku,
Ja nie zapomnę Warszawy.

NIEBO

Przez wyboiste drogi, gdy ostrożną stopą
Błądzimy po Wiśniowcu ciemnym, czy
[Zbarażu,
Noc zapada ogromna nad cichą Europą,
Tylko księżyc, jak świeca pali się w ołtarzu.

W czarnych miasta czeluściach, czy w mroku
[miasteczka,
Tylko niebo nam świeci gwiazdami blademi—
Jedyna już obrona, ostatnia ucieczka—
Wróciło do nas niebo wraz z piekłem na
[ziemi,

Tylko gwiazdy nam świecą i księżyc ru-
[mieńcem
Barwi chmury, gdy wichrem nadlecą przy-
[gnane,
Taka jest nad Londynem noc, i nad Krze-
[mieńcem.
Wróciło do nas niebo — niebo zapomniane.

SYRENY

Gdy zgaśnie pożar słońca i opadnie dym,
Zapadamy w noc czarną jak w głębinę wody,
Ciemnemi ulicami wielkie samochody,
Jak ryby głębinowe płyną w świetle mdłym,

Tylko noc jest prawdziwa. Nieprawdziwy
[dzień,
Złudne są wszystkie sprawy, co w świetle
[dnia płyną,
Dopiero noc otwartą wabiąca głębiną
Przywraca nas do życia, gdy pogrąża w cień.

Każdy, który się zrodzi w nocnej ciszy dźwięk,
Może nagle wyrosnąć i wybuchnąć łkaniem.
Nocy każdej ogromnem budzi nas wołaniem
Z piersi miasta wydarty pełen bólu jęk.

Słuchaj pieśni tych syren, co wabią nas z dna
Głośnem łkaniem anioły budząc pod gwiaz-
[dami,
Nad męką świata płaczą i nad nami,
Którzy w trwodze czekają jasnej złudy dnia.

PORANEK WARSZAWSKI

Fragmenty

Ktoś obudził mnie w nocy i za rękę chwyta,
Chodź, pójdziemy na miasto. Jest wiosna
|i świta.
Owiana mgłą poranną, jak lśniącym szma-
|ragdem
Warszawa cała w kwiatach. Nie wierzysz?
|Naprawdę.

Potrzaskane ulice, z których wielkość biła,
Dzieci śpiące za wolność w bezdomnych mo-
|giłach,
I krepa nad ratuszem zła i bezlitosna:
To właśnie ci się śniło: naprawdę jest wiosna.

Naprawdę jest poranek. Pierzchają opary
Ciepłej fiołkowej nocy i bzy pachną świeże,
Na Placu Teatralnym lśnią miłe filary,
Wczoraj wieczór „Violette” dawano w operze.

Zda się, że jeszcze słyhać w rannych szep-
|tach wiatru
Wieczne jakieś gwary, dźwięki, instru-
|menty...

Ach, zatrzymaj się chwilę... Patrz gwoździak
[zwiędnięty
Leży pod filarami u progu teatru.

Na Krakowskim Przedmieściu niebo jaśnie-
[jące
Gasi spóźnioną gwiazdę i odkrywa w głębi
Dachy Starego Miasta w różowej koronce,
Nad którymi drży obłok srebrny: to gołębie.

W oknie u Gebethnera świtu dotyk pierwszy
Ściera właśnie kurz nocy z tytułów i ze słów
I książki bliskie sercu budzi czule ze snu:
Tu Prus w sonej okładce, tam w krakow-
[skich wstążkach
Wyspiański, a po bokach nowe tomy wierszy
Przyjaciół, którzy w kartkach tych zamknęli
[życie.

O, jak miło wracając do domu o świcie
Przystanąć w oknie wspomnień, pomarzyć
[o książkach.

Poczekaj nim uderzy rytm ulic powszedni,
Nim wszędzie dzień prawdziwy — jest taka
[minuta
Między brzaskiem i rankiem, zadumą osnuta,
Że musisz się zatrzymać i chłoniesz bez-
[wiednie
Odchodzącego czasu wołanie wciąż słabsze...

Które ci przypomina obce już spojrzenie
Kogoś, co odjeżdżając żegna się na zawsze.
I ostatnie przed drogą daje napomnienie.

Tak mija świt młodości i tak kiedyś minie
Wieczór życia w samotnej, czarnej pelerynie.
Przeplęnęło. Przebrzmiało. Już różowy ranek
Westchnął, zdzierając strzępy zadumy z nad
[miasta
Ktoś odchyła u Lursa biały zwój firanek
I z cukierni uderza ciepły zapach ciasta.

Ta woń drożdżowych ciastek i palonej kawy
Z wanilią, tak znamienna dla ulic Warszawy.
Muska nas przypomnieniem miłym, rzewnym
[prawie,
Długich rozmów studenckich przy stygnącej
[kawie.

A dzień narasta ciągle, idzie ciągle wyżej
I karminową barwą powietrze nasycza
Już dwie zapalił wieże u Świętego Krzyża,
Dachy Nowego Świata i pałac Staszycy.

Już pozapalał okna na wysokim piętrze
W rozłożystym pałacu Raczyńskich
[w oddali.
Rzekłbyś, że chłód zalega historyczne
[wnętrze
I ktoś czerwony ogień na kominkach pali.

A kiedy dochodzimy do stóp Kopernika
Osloniętego jeszcze przez opar fijołkowy,
W naszych oczach nieśmiało go słońce dotyka
I zdziera mgłę jak troskę z zadumanej głowy.

Nowy Świat niby wtażką wije się falistą,
O tej kolorów porze — błękitną i czystą.

Po nieparzystej stronie każdy dom znajomy,
Każdy sklep jakimś dawnem przypomnie-
[niem tłoczy.
Ach, zda mi się, że gdybym tylko zamknął
[oczy,
Mógłbym spisać z pamięci po kolei domy.

Przy Świętokrzyskiej z bramy głębi się wy-
[nurza!
Na brzeg, jak z głębi stawu, senna postać
[stróża.
Nieraz w wiosennej porze, w tabaczkowym
[palcie
Polewa chmurnie wodą kawałek ulicy.
Woda tryska jak obłok z mroków kamienicy
I pieni się perliście na czarnym asfalcie.

Przez pianę musującą, świeżą i radosną,
Biegnie młoda dziewczyna w płaszczu z ak-
[samitu,

Oczy pełne tajemnic odwraca od świtu,
Rada coprędzej ukryć się przed dniem
[i wiosną.

Podobna jest w tym ruchu do zranionej nocy
Co mdleje w dłoniach świtu, bez siły i mocy.

Przy cukierni Bliklego zaraz za Warecką,
Jest dom owiany zlekka mgiełką staro-
[świecką.
Idąc tędy zaglądam zawsze rzewnem okiem
Do przesłoniętych napół firankami okien.
Chodziliśmy tam kiedyś, jak przez sen pa-
[miętam,
Na niedzielne herbaty do pani Lewental,
Gdzie w pluszowym salonie w secesyjnym
[stylu,
Schodziło się pod wieczór sławnych ludzi
[tylu.
My, dzieci, z ciastkiem w ręku, ukryci w ko-
[tarze,
Patrzyliśmy przez szpary na artystów twarze,
Ach, ta pani w binoklach, z cerą jakby
[chorą,
To Marja Konopnicka. A ten pan, to Or-Ot!
A tamten, tęgi bardzo, co z fotela wstaje,
To pan Lenc. Obok niego zgarbiony Tetmajer,
O zapadniętych oczach, postrzępionych ner-
[wach.

Za nim ten, co w Rostanda gra sztuce —

[Osterwa.

A w przyległym salonie, przez drzwi pół-

[otwarte

Widać cień Sienkiewicza, jak rozdaje karty.

Te panie, to aktorki: Przybyłko, Siennicka,

Sulima w czarnem boa, w długich rękawicz-

[kach.

A dalej stoją Frenkiel, Roland i Kamiński,

Lange w starym tużurku i smutny Perzyński,

Gabryjela Zapolska z papierosem w ustach.....

Wszyscy jakby wyjęci dzisiaj z książki

[Prousta.

Pani Hortensja, z pudłem od Wedla, prze-

[pływa

Przez adamaszki, plusze, perfumy i dymy,

Uśmiecha się do gości, nerwowa, szczęśliwa,

Z brzydką broszą na piersiach — darem

[Deotymy.

Za oknem na podwórzu płynie noc zimowa

I zapala się żółta latarnia gazowa.

Śnieg pada i narzuca na miasto atłasy,

Zasypując ten salon, tych ludzi, tę czasy....

.
.
Nie żądajcie ode mnie żadnej głębszej

[treści.

Wiem, że sława tam bije z każdego kamienia

I że będą legendy pisać o tem mieście

I o męstwie, co nie zna drugiego imienia.
Ale dziś chciałem tylko dać obraz szczęśliwy,
Pełen światła i woni, niby obraz wioski,
Przez którą każdy kiedyś wędrował bez-
[troski —
Obraz nadto pogodny, aby był prawdziwy.
Ale dziś chciałem tylko, wśród grozy wie-
[czora
W Londynie pod bombami — wrócić do
[poranka
I spojrzeć na Warszawę oczyma kochanka,
Który ciągle nie wierzy, że to było wczoraj.
.
Przyjdzie dzień, że po nocy upiornej, o świcie.
W pięknym miesiącu maju Warszawa się
[locknie
I zakwitną oliwne kwiaty w każdym oknie.
I znów poranek błysnie jak tom młodych
[wierszy,
Pełen czarów, uroków i uśmiechów bratnich.
Dla ciebie, o mój synu, będzie może pierw-
[szy.....
Ach, pomyśl wtedy o mnie. Dla mnie był
[ostatni.

KWIATY POLSKIE

Fragmenty opowieści poetyckiej.

Bukiety wiejskie, jak wiadomo,
Wiązane były wzwyż i stromo,
W barwach podobne do ołtarza,
Kształt serca miały lub wachlarza
Albo palety. Z niej to, kwietnej,
Kolory brał bohomas świetny,
Rafael Rawy i Studzianny,
Kiedy ku czci Najświętszej Panny
Malował uczuć swoich kwiaty
W tonacji bladej, choć pstrokatej.
Ja nie o wiechciach z byle chwastu
Stawianych na werandzie na stół,
Nie o wiązkach z kwiatów polnych,
Może i wdzięcznych, lecz dowolnych,
Nie o naręczach, specjalności
Wiochen i starszych dam rozwianych,
Noszących je dla wykazania
Polskości swej lub niewinności;
Ja o bukietach z kunsztem, ładem,
Przewodnią myślą i układem,
O zaściankowych, niestołecznych,
Lecz ogrodniczych, lecz dorzecznym,
Z kwiatów ścinanych nożycami,
Ściąganych pasemkami łyka
Przez popękane, czarnoziemne,

Zgrabiałe ręce ogrodnika.
Spójrz, jak przejmuje i przetyka
Łodygi ich między palcami,
Jak coraz nową barwą plami,
Przeplata, więzi i zamyka!
Znów kładzie, przewiązuje, ściąga,
Palcami jak na drutach robi,
I rośnie wizja półokrągła,
On wzmacnia ją, przystraja, zdo­bi,
Śledzi z pod gęstych brwi oczyma,
A taśmę łyka w zębach trzyma,
Milczek surowy, bo tworzący.
Patrz: znowu wybrał, odgryzł, wstawił,
Na przejmy chwycił i przewinał,
Łyczaną ścieśnił pępowiną
I świeżym rzutem pojaskrawił,
Tu tknął, tu trzepnął, tutaj prztyknął,
A bukiet zaraz się odezwał:
Rezedą szepnął, różą krzyk­nął,
Westchnął, pokiwał się i przestał.
Więc on palcami po bukiecie
Przejechał się jak po szpincecie,
Falistym musnął go pasażem
I wtem — do góry go nogami!
Łodygi chlasnął nożycami,
Że aż omdlały pod żelazem,
Aż dreszczem poszło przez ogrody,
Aż pobladł w grządkach lud pstrokaty,
Więc mistrz nabiera do ust wody
I opryskując cuci kwiaty.

.

.
.
W bukiecie wiejskim, jak wiadomo,
Róże są skromne, bo po - domu.
Nie tkwią w kryształach na wystawie
Za lśniąca taflą szkła w Warszawie,
Nie sterczą swą łodygą długą
Jakby połknęły jedna drugą;
Bez aspiracji do salonu,
Bez wywodzenia się z Saronu,
Bez dasów, pasów i purpury
Nie zadzierają głów do góry;
Jak porzucone narzeczone,
Trzymają główki opuszczone,
A oczy wznoszą — i tak trwają,
I spoglądając — przepraszają,
Owe z cieplarni emigrantki,
Sztamowych biedne familjantki,
Nie są wyniosłe ni zawistne,
Lecz dobroduszne, drobnolistne,
Gęste i niskie, krasne, kraśne,
Zawsze z żółtawym proszkiem w środku,
Dobre przy bluzkach u podłotków
Lub w szklance. Takie róże właśnie.
A woń kwiatowej mają wody,
Świeżej, jak w mojej Łodzi młodej
Kwietniowy dyngus na Piotrkowskiej
I uśmiech Zosi Opęchowskiej.
Gdzie jesteś dziś, dziewczyno śliczna
O dwu warkoczach wyłożonych
Na pierś, wzdłuż ramion przerzuconych,

Smukła i smagła i pszeniczna,
Miodna, dysząca plonem pszczelnym
I wiatrem w zbożu pochylonem
I wczesnym na wsi dniem niedzielnym,
Gdy kolorowe, krochmalone, ^z
Krajkami szumiąc wzorzystymi,
Ścieżką przydrożną idą z sioła
Kwietne dziewczęta do kościoła:
Z oczami niebu odjętymi
I chabrom inowłodzkiej ziemi;
Choć wystrojone, idą boso,
Trzewiki na ramionach niosą,
Wcześniej na świecie — i po łące
Świeżości wloką się dymiące.
Ja, siadłszy na zwalonem drzewie,
Patykiem w pniu żywicznym grzebię,
Wyciągam bursztynowe pasmo
W nitkę wciąż cieńszą, aż pajęczą;
Las pachnie mocno, kwiaty brzęczą;
Zamykam oczy — jak w nich jasno!
Otwieram oczy — co to? o czym?
Urwana nitka... Gdzie warkocze?
Gdzie echo napiętego rymu?
Gdzie wiersz? Gdzie sen?
...„Kłębami dymu
Niechaj otoczę się”... I płaczę.

Drobnomieszczkańskie nasze róże,
Różyczki raczej, lub różęta,
Tak jak je widzę i pamiętam,
Z barwy przyrównałbym tynkturze

Na siódmej wodzie po purpurze.
Coś miały z barszczu i coś z malin,
Rosnących dziko wśród rozwalin,
Gdzie żuźle, cegły, osypiska,
I złom kredowy w słońcu błyska,
I rozpalony wielki kamień
(I błystki lśniącej miki na nim,
A pod nim wilgny, chłodny piasek
I panika spłoszonych mrówek...)
Gdzie stary trzewik szpilki szczerzy,
Gdzie zardzewiały nocnik leży,
Gdzie na cykorji kwiat niebieski,
Falując siada paż królewski
Progenitury półjaskółczej,
Skrzydełka składa i rozkłada
I w lot — i na dziewannę spada:
Bardziej mu swojsko tam, bo żółciej;
Gdzie stare gonty, klepki z cebra
I smród i żar i końskie żebra
Albo zbiełały kundla szkielet
I potłuczone szkło butelek,
Przez które widać świat na piwno.
Gdzie rozeschnięte kół obręcze,
Gdzie chaos zielska i rozbrzęczeń,
Gdzie parzę się o dzicz pokrzywną
I siekę kijem, mały warjat,
Roślinny lumpenproletariat —

— Tam zawsze w rumowisku owem
Stał malinowy krzak — przybłąda.
Sam nie wie, jak się tu przyszwendał,

Lecz rósł, lecz trwał — i malinowe,
Grube łyzy ronił... Jednem słowem,
Róż wiejskich czerwien rozcieńczona
Coś miała z malin, coś z buraków,
Coś z pomidorów i coś z raków:
Ot, jakaś — niedoczerwieniona.

Ogrodnik, czuły na harmonię
I rozkład sił między barwami,
Rezedę przypiął pod różami.
Poeta dałby tu piwonje,
Lewkonje albo pelargonje,
Żeby słuchowi była radość,
By rymem wzmocnić tę harmonję —
Lecz on, kwiecistej znawca flory,
Patrzącym oczom czyniąc zadość,
Dbał nie o rymy, lecz kolory.
Posłuszny tedy barw naturze,
Kępą rezedy podparł róże:
Bo jeśli czerwien róż naoczna
Jakaś barszczowa jest, uboczna
(Patrz wyżej, bo już nie powtórzę),
To zieleń, tutaj mu niezbędna,
Też musi w tonie być podrzędna,
Inaczej — zginą biedne róże...
Przez zieleń brnąć i jej odcienie
Można, jak wiemy, nieskończenie
(Patrz „Zieleń” bo już nie powtórzę)
Lecz gdy się pióro raz rozjedzie
(Rok nie pisałem, nawet dłużej),
To trudno — muszę o rezedzie.

.
.
A pachnie — — Właśnie! Jak opiszę
Woń którą kwiat swobodnie dysze?
Ile słów trzeba i łamańców,
Jaki zawily sprzęgnąć muszę
Metafor i porównań łańcuch,
Jak mózg utrudzę i wysuszę,
Zanim wykrętnie i wymyślnie
Pióro tę woń w wyrazy wciśnie,
W słowa bezradne i bezsilne,
W fałszywe słowa i omylne,
Co już, tuż, są niby blisko,
Już wlażyły w kwietny pył jak osa —
— I nic. A przytknąć kwiat do nosa
Powąchać raz — i wie się wszystko.
Weź jaśmin. Choćbyś zamknął oczy,
On całą jaśmień mleczną leje
I żółtą farbą złościścieje
I blaszki listków swoich toczy,
I pąki jak jajeczka ptasię,
I giętkich krzaków gąszcz i trzepot
— Wszystko na dłoni masz, głuptasie,
Gdy raz nim westchniesz choć na ślepo.
A róża pachnąc samej sobie,
Sobie i głupiej twej osobie
(I niezawodnie innym różom,
Które na wyścig tamtej wtórzają),
Róża, wkrwawiona w dzień rozgrzany,
Składa Ci paszport swój różany.
Ona w ogrodzie, ty w pokoju,

Ale ci całą siebie powie,
Jeśli na chwilę dzień u znoju
Wybląga upragniony powiew:
Ten aromatów wierny aljant
Przywionie przez otwarte okno
Nią jedną tchnący, oczywisty,
Cudowny dowód osobisty,
Zawierający personalja.

Jak pachną niezapominajki
W glinianej misce pod kamieniem?
Jak narcyz, biały księżę z bajki,
W kryzie, z zieloną długą szpadą?
Jakiem wyrazić mam imieniem
Woń miękkiej mięty nad strumieniem?
Za aptekarską stanąć ladą —
I poczęstować czytelnika
Pastą do zębów, albo proszkiem?
A może pani dobrodzika
Pozwoli eliksiru troszkę?
A może podam na ochłodę
Angielkę pepermintu z lodem?
Bardzo orzeźwia zgrzanych gości,
A także co do zieloności...
Stwierdziwszy tedy niewątpliwie
Że z opisami wielka bieda,
Należy uznać że właściwie
Rezeda pachnie jak rezeda.

.

A polski bez jak pachniał w maju,
W Alejach i w ogrodzie Saskim,

W koszach na rogu i w tramwaju,
Gdy z Bielan wracał lud warszawski?
Szofer nim miał swą taksówkę,
Frajerów wioząc na majówkę,
Na trawkie, piwko, na muzykie,
Gnał „na sto jeden”, na rezykie;
A wioził śmietankie towarzyskie:
Kuchtę Walercię, tę ze Śliskiej,
Burakoszczaka z Czerniakowskiej
I Józia Gwizdalskiego z Wolskiej.
Byli spocone i zziajane
I wszystka trzech w drebiezgi pjane.
I jak jechali bez Pułaskie
Fordziak w latarnie wyrznął z trzaskiem,
I przybiegł (tyż pod gazem krzynkie)
Flimon szarpany za podpinkie;
Szofer czarował go natralnie,
Że on zapychał leguralnie,
I „niech ja skonam, niech ja skonam!”
(Zawsze dwa razy! rzecz stwierdzona),
„Skoro jeżeli znakiem tego
Nie jest to wina bzu danego,
Któren cholernie się uwietrzał
I mocny zapach skuteczniał;
Ciut ciut mnie z niego zamroczyło,
I właśnie bez to się zdarzyło”.
Policjant mówił: „Ja nie frajer,
I pan nie weźmiesz mnie na bajer,
Pan się zatrudniasz ankoholem” —

.

I wszyscy do komisariatu —
A z winy majowego kwiatu,
Potem to ślicznie Wiech uwieczniał
Zdaleka więc do Pana Wiecha
Pełen wdzięczności się uśmiecham...
Znam przypadkowo—i opowiem
Los taksówkowych tych „frajerów”...
Ach, jacy z pańskich bohaterów
Wyrośli nad-bohaterowie.

.
(tu następuje historia szofera,
policjanta, Walerci i Burakowskiego
i Gwizdalskiego, w Warszawie i w
różnych świata stronach).

.
Więc jak pachniałeś, bieże warszawski,
Kiedy, rażąca i nieznośna,
Przyszła, ruiny strojąc w blaski,
Nowej niedoli pierwsza wiosna?
Gdy szafirami cię uświetnił
Bezwstydnie piękny strop niebieski,
Ty z nad ogrodzeń wzdłuż Królewskiej,
Z zarośli przy Teatrze Letnim,
I ty od Żabiej, od Niecałej
I z tego wzgórza ponad stawem,
Na którym w owym wrześnie krwawym,
Ptaki, od huku oszalałe,
Przed śmiercią jeszcze pożegnały
Łabędzią pieśnią swą Warszawę!
Jakżeś się wstydem nie zapłonił

Kiściami pachnąc obfitemi?
Nic nie mów. Nie chcę znać tej woni.
Lecz już chrapami rozdętymi
Węszą twój mokry, chłodny zapach,
Gdy znów nurtować będę w krzakach
Świeżego bzu na mojej ziemi.
O, jakie salwy aromatu
Zagrzmia z gałęzi Twych kwitnących,
Z pąków na wiwat pękających,
Na zazdrość i na dziw armatom.

.
.

O, strzel najprędzej, bie majowy!

.

MODLITWA

Fragment z opowieści poetyckiej
„Kwiaty polskie”.

Chmury nad nami rozpal w łunę,
Uderz nam w serca złotym dzwonem,
Otwórz nam Polskę, jak piorunem
Otwierasz niebo zachmurzone.
Daj nam uprzątnąć dom ojczysty
Tak z naszych zgłiszcz i ruin świętych,
Jak z grzechów naszych, win przekle-
[tych,
Niech będzie biedny, ale czysty,
Dom nasz z cmentarza podźwignięty.
Ziemi, gdy z martwych się obudzi
I brzask wolności ją ozłoci.
Daj rządy mądrych, dobrych ludzi,
Mocnych w mądrości i dobroci.
A kiedy lud na nogi stanie,
Niechaj podniesie pięść żyłastą:
Daj pracującym we władanie
Plon pracy ich we wsi i miastach,
Bankierstwo rozpędź — i spraw, Panie
By pieniądz w pieniądz nie porastał.
Pysznych pokora niech uzbroi,
Pokornym gniewnej dumy przydaj,
Poucz nas, że pod słońcem twojem
„Niemasz greczyzna ani żyda”.

Puszającym się, nadymającym
Strać z głowy ich koronę głupią
A warzącemu wielkorządcy
Na biurku postaw czaszkę trupią.
Piorunem ruń, gdy w imię sławy
Pyszałek chwyci broń do ręki,
Nie dopuść żeby miecz nieprawy
Miał za rękojeść krzyż twej męki.
Niech się wypełni dobra wola
Szlachetnych serc, co w klęsce wzrosły,
Przywróć nam chleb z polskiego pola,
Przywróć nam trumny z polskiej sosny.
Lecz nadewszystko — słowom naszym
Zmienionym chytrze przez krętaczy,
Niech prawo zawsze prawo znaczy,
A sprawiedliwość — sprawiedliwość.
Niech więcej twego brzmi imienia
W uczynkach ludzkich, niż w ich pieśni.
Głupcom odejmij dar marzenia,
A sny szlachetnych ucieleśnij.
Spraw, byśmy błogosławić mogli
Pożar, co zniszczył nasz dobytek,
Jeśli oczyszczającym ogniem
Będzie dla naszych dusz nadgnitych.
Każda niech Polska będzie wielka:
Synom jej ducha czy jej ciała
Daj wielkość serc gdy będzie wielka,
Daj wielkość serc gdy będzie mała
Wtłoczonym między dzicz niemiecką
I nowy naród stu narodów,
Na wschód granicę daj sąsiedzką,

A wieczną przepaść od zachodu.
Dłonie twe, z których krew się toczy
Razem z gwoździami wyrwij z krzyża
I zakryj, zakryj nimi oczy
Gdy się czas zemsty będzie zbliżał.

.
.

...A gdy będziemy, Nekropolu,
Przybliżyć się do twych przedmieści,
Klęknjemy kwarantanną w polu,
Nadziei pełni i boleści:
Nadziei — że nam przyjaciele
Naprzeciw wyjdą z Miasta Krzyżów
Niosący w oczach przebaczenie
I łzy radości a nie wyrzut..
Boleści — że nam nie pomogą
Te łzy, ni łaska, ni witanie:
Milczące między nami stanie
Zjawą złowrogą.

SPIS RZECZY

	<i>Str</i>
Od wydawcy	5
Wstęp	7
Część pierwsza	
ZWIASTUNY BURZY	11
Krzyk ostateczny	17
* * *	19
Bagnet na broń.	21
Część druga	
LUDZKA SKARGA.	23
Żołnierz polski	29
Warszawa.	30
W odlocie	31
* * *	32
Gwiazdy	33
Wiosna kłęski	34
Szedłem dzisiaj przez ogród	35
Część trzecia	
SPOKOJNE SPOJRZENIE	39
Postawy	45
Dokoła noc	47
Bohater.	48
Psalm o łasce	50
Równina	51
* * *	53
Opowiadanie.	55

Kolenda	57
Nad światem	58

Część czwarta

PIEŚŃ WIARY	59
Rok 1941	63
Pieśń wiary	68
Ballada o Serbji	74
Pieśń niewidomych Niemców	76
Bez tytułu	83
Pieśń niedobrych synów	85
Modlitwa do M. Boskiej Poczajowskiej	87

Część piąta

DROGA DO POLSKI	91
Droga	97
Pozdrowienie dla autora „Drogi”	99
Rozmowa	100
Niebo	102
Syreny	103
Poranek Warszawski	104
Kwiaty Polskie	111
Modlitwa	122

Książkę tę ułożył i przypisami zaopatrzył Ks. J. Robak

W PRZYGOTOWANIU:

- 1) Michał Psellos. Faszyzm a tradycja europejska.
- 2) Tom prozy beletrystycznej.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-000 Warszawa
Tel. 26-63 63, 26-62-81 w: 42

F

2650